Nr. 63. Lwów, Niedziela dnia 10. Listopada 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

SIELANKA NIERÓŻOWA.

OBRAZEK MIEJSKI

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

Z szerokich i ludnych ulic miasta ku krętym i cichym uliczkom zarzecznego przedmieścia, biegła dziewczynka dziesięcioletnia, chuda, zwinna, w grubej spodnicy przepasującej podartą koszulę, z bosemi stopami i ogromnemi włosy, śród których mięszały się połyski złota i miedzi.

Biegła szybko, czarne zapadłe oczy szeroko otwierała i od chwili do chwili podnosząc to opuszczając ramiona zdawała się trzepotać niemi, jak ptak skrzydlami. Od chwili do chwili też wołała:

— Władek! Władek!

Nagle, przed biegnącą tak dziewczynką ozwał się szept stłumiony lecz gwałtowny:

— Stój! ptaki mi spłoszysz! stójże Marcysiu! cicho!

Stanęła jak wryta. Cała twarz jej zniecierpliwiona i zmęczona przed chwilą drgnęła uśmiechem radości a szeroko rozwarte oczy utkwiły w istocie ludzkiej, która stłumionemi wykrzykami nakazywała jej spokój i milczenie.

Był to chłopak o lat parę od niej starszy, z odzieży wyglądający na ulicznego obdartusa, z twarzą roztropną, przebiegłą nawet, z siwem okiem pałającem pod brwią żółtopłową. Stał on plecami przyciśnięty do płotu, z jednej strony osłonięty przed wzrokiem przechodniów ścianą szarej jakiejś budowy, z drugiej grubym pniem uschłej topoli, twarz podniósł wysoko, oczy z rozżarzoną źrenicą wlepiał w dach przeciwległego domostwa a pod ramieniem trzymał gołębia o ceglasto różowych skrzydłach, który przenajspokojniej znajdując się podnosił też dziób, patrzył na dach przeciwległy i kiedy niekiedy tylko odzywał się cichym, urywanem gruchaniem.

Na dachu przeciwległym siedziało liczne stado gołębi.

Uliczka przedmiejska niebrukowana i trawą porosła, cichą była i w tej chwili prawie bezludną. Gdzieniegdzie za płotami, pracowali w ogrodach ludzie, za oknami odzywało się stuknięcie lub zgrzytnięcie rzemieślniczego narzędzia, tu i ówdzie rozległ się swar jakiś, czasem śmiech, ale ulicą nie przechodził i nie spoglądał na nią nikt. Przedwieczorna cisza ta przyjazną znać była dla zamiarów chłopca, czatującego widocznie na coś, z gołębiem pod ramieniem. Zrozumiała to Marcysia i na palcach skradając się, zbliżyła się do chłopca, stanęła tuż przy nim i z ciekawością połączoną z odcieniem obawy, utkwiła wzrok w stadzie ptactwa obsiadującem dach przeciwległy.

— Władek — szepnęła cichutko — czy one jeszcze nie podlatywały?

— Nie jeszcze! — odszepnął chłopak.

— Bodaj ich korszun*) zdusił! — zaklął po chwili — siedzą i siedzą!

— A *przewodnika* masz? — zapytała Marcysia.

— No, a jakże!

I wysunął nieco z pod ramienia różowego gołębia ukazując go Marcysi. Dziewczynka przesunęła drobną, ciemną dłoń po jedwabistem skrzydle ptaka.

— Lubuś! Lubuś! oj ty Lubuś! — szeptała zbliżając usta ku jego dzióbowi.

— Wiesz? — tajemniczo i wciąż patrząc w górę szeptał chłopak — szewczysko to umie dobrze gołębie hodować! Ile mu już ich Lubuś mój uprowadził.... żebym tyle rubli miał, panem byłbym! a dla tego gołębi u niego coraz więcej! No, już ja im w tym roku poradzę!... Jak chcę być bogatym uprowadzę wszystkie i tylko dwie pary na rozpłód zostawię? niech szewczysko pęka ze złości! Co on mi zrobi!

*) Tak lud nazywa w niektórych stronach kraju pewien gatunek jastrzębi.

Zaledwie dokończył wyrazy te, kilka gołębi siwych i białych wzleciało z nad dachu i prostopadłym lotem wzbiło się w górę. Chłopak drgnął.

— Ruszajcie się, dziatki, no, ruszajcież się! — zawołał prawie głośno.

W chwilę potem obsiadujące dach stado całe zerwało się jednocześnie i napełniło powietrze migotaniem i szelestem skrzydeł, a chłopak w obie ręce ujął różowego gołębia swego, który drżał też jakby z niecierpliwości, podniósł go jak mógł najwyżej i rzucił w przestrzeń. Ptak rozwinął szeroko skrzydła i błyskawicznym pędem wpadł w migotliwą i chóralnie gruchającą chmurę gołębi. Wtedy zaczęły odbywać się w powietrzu łowy i porozumiewania się szczególne.

Przy zbliżającym się wieczorze niebo posiadało barwę liliową i usiane było szmatami obłoków, które blask słońca za mury miejskie zachodzącego, złocił i czerwienił. Pomiędzy gromadą jaskrawych, wełnistych chmur rozsianych pod bladem niebem a długim dachem domostwa, na którym rósł mech starości i leżały gałęzie kilku drzew rozłożystych, odbywały się napowietrzne igrzyska ptasie, przedstawiające gołębia-mistrza usiłującego wywieść z pomiędzy stada i za sobą uprowadzić potulnych i nieuczonych spółbraci. Śród migotliwej chmury białych i siwych skrzydeł, różowy „przewodnik,“ skąpany w jaskrawym blasku obłoków, niby skrzydlaty płomień krążył i podlatywał, drogę zabiegał, skrzydłami o skrzydła uderzał, mięszał się z ogólnem kołem to zeń wyosabniał, w oczy zda się towarzyszom zaglądał, gruchając namawiał jakby prosił za sobą, drogę wskazywał.... Stado skupiało się w około niego, to rozpraszało trwożnie lub swawolnie, osiadało na dachu i kołyszących się pod niem gałęziach drzew, to znowu wzbijało się w lot wysoki i zawisało nieruchomo pod złotemi chmurami.

A gdy tak działo się w górze, na dole, pod białawem ogrodzeniem wąskiej uliczki, pomiędzy węgłem szarego śpichrza a pniem

uschłego drzewa, dwoje dzieci stało ściśle tuląc się ku sobie, wzniesionemi w górę oczami ścigając każde poruszenie ptaków, ciężko i szybko oddychając. Na obie dziecinne twarze ich wybiły się gorączkowe rumieńce i można było nieledwie słyszeć gwałtowne bicie ich serc.

Były to istne łowy, ale szczególne. Zamiast lasów cienistych lub rozległych błoni, polem ich była ciasna uliczka przedmiejska i powietrze złote od przedwieczornych świateł. Zamiast świetnych, strojnych myśliwców, było tu dwoje dzieci obdartych i bosych, kryjących się za drzewa, z drżącemi wargami i pałającym, namiętnym wzrokiem. Sokoła zastępował tu różowy gołąb-Lubuś, a zdobyczą miały być także gołębie, uprowadzanie których za pomocą hodowanych w tym celu „przewodników“ stanowi rozkosz, chlubę i źródło dochodu ulicznych dzieci.

Nagle przyciszonym lecz radością nabrzmiałym głosem Władek zawołał:

— Aha! prowadzi!

Marcysia podskoczyła parę razy tak jakby ku gołębiom zrywała się do lotu i szepnęła także.

— Prowadzi! prowadzi! prowadzi!

Lubuś wyosobnił się z pomiędzy stada i uleciawszy niewielką przestrzeń zawisł w powietrzu. Chwilę tylko pozostał samotny. Od stada odłączył się ku niemu i pożeglował jeden naprzód, potem drugi, trzeci, czwarty gołąb. Leciały sznurem a potem okrążały przewodnika po wiele razy i coraz ciaśniejszem kołem. Gdy w ten sposób utworzyła się spora już gromadka odosobniona od wielkiej gromady, która teraz cicho, niby w zamięszaniu czy smutku na dach omszony opadła, Lubuś wzbił się wyżej i szybkim lotem pomknął ku zielonej ścianie jaru widniejącej w dali z za szarych domostw. Za nim lecieli uwiedzeni przezeń towarzysze. Było ich sześciu.

— Sześć! sześć! — klaszcząc w dłonie zawołał chłopak i całą szybkością nóg swych zwinnych i nie obutych puścił się uliczką, skręcił potem na inną i znowu na inną, dla skrócenia sobie drogi przeskakiwał płoty, zdawało się, że lotem ptaka chciałby dosięgnąć zielonej ściany jaru. Za nim biegła Marcysia, z całej siły zdyszanej piersi krzycząc: sześć! sześć! a potem! Władek! poczekaj! stój!

Ale Władek nie stawał i nie czekał na nią, a ona, mniejsza i słabsza zdawała się co chwilę upadać ze zmęczenia. Lecz szczęśliwy wynik polowania napełniał ją, nieprzytomną prawie radością, która podnosiła ją jakby z nad ziemi.

Tak zdyszane, rozognione, z błyszczącemi oczami i rozwianemi na wiatr włosy, po przez uliczki, podwórka i ogrodzenia, dzieci te biegły tam, kędy górą, wysoko po nad niemi leciał sznur gołębi, ku zielonemu jarowi i wiszącej u ściany jego szarej chatce z niskim płotkiem pnącym się w górę i otaczającym mały, mizerny ogródek. Jar, chatka, płotek i ogródek ukazały się w dali... w dali... pod samym już skłonem liliowego nieba i w sinej mgle oddalenia, w której po chwili zniknęły gołębie i dzieci.

Dziwne to było miejsce, dzikie, choć znajdowało się w obrębie jeszcze ludnego miasta, świetliste i ciemne zarazem. Mgła, w której ukazywało się ono z oddali, nie powstawała z samej tylko odległości ale podnosiła się też z nad sadzawki, nieruchomo zalegającej dno jaru, a nad którą w jednem miejscu rosło kilka bardzo starych wierzb. Drzewa te miały pnie grube, w różne strony powykrzywiane i szeroko rozpostarte obwisłe gałęzie, któremi muskały zielonawą powierzchnią wody. W przedwieczornej porze, głębia ta jaru, pogrążała się już w grubym zmroku, za sadzawką tylko i wierzbami, przez wązki otwór dwóch ścian wysokich, przeglądało złote jeszcze od słońca pole i kiedy niekiedy przybywający ztamtąd promyk, przedzierając gęste cienie, spadał na wodę lub wił się w berberysach, głogach i dzikich agrestach, rosnących tam gajem niskim i kolczatym. Ale z pomiędzy niskiego gaju tego, zrzadka rozświetlanego błędnym promieniem słońca, wybiegała wązka ścieżka wydeptana i bielejąca śród trawy i wspinała się po jednej ze ścian jaru, kędy było coraz widniej aż ku domkowi z ogródkiem i płotkiem, oblewanemu już w pełni wszystkiemi światłościami rozjaskrawionych przedwieczornych obłoków. Małe okna domku tego, czy tej chatki czerwone były jak rubiny w których przegląda się płomię, płotek wydawał się ognistym wężem a rosnące w ogródku dwie mizerne grusze trzęsły liśćmi jak kroplami złotej rosy. Naprzeciw, za przeciwległą odginającą się w tył ścianą jaru, na stoku wysokiej góry stało miasto rozległe, za murami którego słońce skryło się już zupełnie. Ale u szczytów wież kościelnych krzyże paliły się jak lotne płomyki, wszystkie okna domostw drżały złotem i purpurą, zieleń ogrodów kąpała się w falującem morzu światła, z kominów dymy ulatywały tysiącem wstęg różowych, sinych, srebrnych i płynęły ku górze, kędy w cichym spokoju słały się pod bladem niebem lekkie i świetne puchy obłoków.

W chatce wiszącej u ściany jaru nie było znać nikogo, bo za rubinowemi okienkami panowała cisza zupełna. Nagle załopotały w powietrzu skrzydła; górą przeleciały gołębie i sznurem usiadły na dachu chaty. W tejże prawie chwili na ścieżce wiodącej ku przedmieściu, zatentniał bieg szybki; Władek zzjajany, z włosem rozwianym i rozwartą u piersi koszulą przypadł do węgła chaty, wyciągnął w górę ramiona i w mgnieniu oka z chyżością i zwinnością kocią wdarłszy się na ścianę, stanął na dachu. Wtedy ukazała się też biegnąca ścieżką Marcysia i bez tchu prawie z widoczną wprawą w tego rodzaju ćwiczenia, czepiając się wystających belek ściany i gałęzi rosnącego tuż młodego drzewka, poszła w ślady towarzysza. Po chwili, stali oboje na dachu chaty i szeroko, prędko oddychając, głośno śmiać się zaczęli.

— Oto udało się! — zawołał Władek.

— Udało się! — przywtórzyła dziewczynka i schyliwszy się wzięła w obie dłonie różowego gołębia-przewodnika.

— Dobry Lubuś! kochany Lubuś! — mówiła przerywanym jeszcze od zmęczenia głosem i całowała jedwabiste skrzydła i czupurną główkę ptaka.

Władek tymczasem oddawał się praktyczniejszemu zajęciu. Otworzył klapę zamykającą drewniany o wązkiem okienku, rodzaj gołębnika wpółokrytego zielskiem i małemi latoroślami obrastającemi starą strzechę dachu i poumieszczał w nim wszystkie z kolei za Lubusiem przybyłe gołębie. Skończywszy, zamknął klapę i usiadł.

Dach był dość spadzisty, ale dzieci wygodnie siedzieć na nim mogły, bo starość wyłamała go w zagłębienia i wypukłości liczne. Plecami wsparci o mały gołębnik, nagie stopy oparli o giętkie płonki wierzbowe, które usiał tam wiatr, nanoszący co roku warstwą piasku szczyt starej chaty.

— Ot i dobrze! — zaczął Władek — starej w domu nie ma, to i nic wiedzieć nie będzie o naszych dzisiejszych gościach... gdyby wiedziała, toby mnie jak zawsze męczyła: a gdzie pieniądze coś wziął za gołębie? I oddaćbym musiał choć połowę... A tak, jutro sprzedam i nic nie oddam!..

— A co ty z temi pieniędzmi zrobisz? — zapytała Marcysia.

— Ot co? najem się i piwka sobie wypiję... takim zawsze głodny, że aż strach... Stara dziś kiełbasę jadła i piwo piła a ja tylko patrząc ślinkę łykałem... taka już ona... mnie kawałek suchego chleba da i krupniku czarnego odrobinę a sama i ze znajomymi swymi hula sobie!

— Aj! zapomniałam! — zawołała nagle Marcysia.

— Czegoś zapomniała?..

Zamiast odpowiedzi, dziewczynka wyjęła z za koszuli dwa duże obwarzanki i śmiejąc się na głos cały pokazała je chłopcowi.

Wyciągnął po nie rękę.

— Daj! — zawołał.

— Czekaj! dam sama! ot masz!

I oddała mu jeden z obwarzanków a drugi chciwie do ust własnych poniosła.

— Jezu! Marya! dobrze że nie zgubiłam! — zawołała po chwili.

— Aha! — odpowiedział Władek — mogłaś zgubić! leciałaś jak waryatka!

Dziewczynka pochyliła się i figlarnie mu w twarz spojrzała.

— A co? — zapytała, smaczne?

Władek skrzywił się.

— Nie bardzo! — odrzekł — ale co robić! Kiedy taka już niedola nasza to i suchy obwarzanek lepszy jak nic! a zkąd ty to wzięłaś?

Wyciągnęła palec w kierunku miasta.

— Tam, na ulicy, jakaś pani dała trzy grosze, to i kupiłam...

— Żebrałaś? — zapytał chłopak.

— A jużci!

— No, no! — mówił wstrząsając głową — jakie te dziewczyny szczęśliwe! im zawsze prędzej dadzą jak nam... Mnie już dawno nikt nic dać nie chce...

— Bo ty już wielki, a ja jeszcze mała.

— Wielki! ot szczęście! to i więcej jeść mi trzeba... a zkąd ja wezmę... Stryj ciągle gada, że do rzemiosła mię odda, ale obiecanka cacanka a głupiemu radość... I co mi tam zresztą rzemieślnikiem być? ot żeby tak panem sobie zostać, to co innego...

Marcysia nic nie odpowiedziała. Gryzła obwarzanek a po chwili wyciągnęła palec w kierunku jednego z mniejszych domów miejskich i zawołała:

— O! widzisz! to dom pana ogrodnika, który ciebie przeszłego roku do kopania najmował. Ot tam to ślicznie! aj! jak ślicznie!

— A ślicznie! — potwierdził Władek —

bo ogrodniczysko strasznie bogate! jak ja będę bogatym to sobie ten dom kupię.

A po chwili dodał:

— Z tobą ożenię się i będziemy tam sobie razem mieszkać!..

Dziewczynka uśmiechnęła się.

— Oto dobrze będzie! — rzekła i poważniej zapytała:

— A zkąd ty, Władek, weźmiesz bogactwo?

Władek zamyślił się a potem odpowiedział:

— Abo ja wiem zkąd? ale że zkądciś wziąć muszę, to muszę. Tak mi już zbrzydło to psie życie... że aż...

Splunął a potem prawił dalej:

— Bo czy to sprawiedliwie na świecie? jeden ma wszystkiego po uszy a drugi nic... jeden paniczem sobie jest, nie wiadomo za co, a drugi takim ot obdartusem jak ja... także niewiadomo za co! Ciotka wymawia ciągle, że tylko karmić mię musi a nic ze mnie nie ma? Ciekawym co ona ze mnie może mieć? W przeszłym roku kopałem po ogrodach i zielsko taczkami woziłem, to i cóż? czy lepsza dla mnie była? gdzie tam! jeszcze pod jesień jakoś, ojciec przywlókł się do chaty i wybił mnie... Ot dobrze tobie, że ojca niemasz... biłby...

Marcysi usta zadrżały jakby do płaczu.

— Matka bije... — szepnęła.

— Ej, to tylko czasem, jak upije się! — pocieszał Władek — a jak trzeźwa to całuje, piosenek uczy i bajki gada... mnie nigdy nikt dobrego słowa nie powie... Aj nędza!.. Ot tak czasem człowiek ze zgryzoty rzuciłby się w tę sadzawkę...

— Aj, aj! — przeraźliwie krzyknęła Marcysia.

Władek spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Czego wrzeszczysz? — zapytał.

— Tak przelękłam się! — skarżyła się dziewczynka — żebyś ty rzucił się w sadzawkę tobyś utonął i umarł...

— No a jakbym umarł, to i co?

Marcysia przerażonemi oczami wpatrzyła się w niego.

— To... to... toby ciebie nie było... — odpowiedziała cicho.

— Nie było mnie, był świat, nie będzie mnie, będzie świat — przypatrując się bosym nogom swym i sentencyonalnym tonem odparł chłopiec, ale spojrzał potem na Marcysię i zawołał:

— No i czegoż tak oczy wytrzeszczyłaś... ot i beczeć już zaczynasz... no, no — mówił dalej — nie lękaj się tak, nie utopię się... bogatym kiedyś będę i ożenię się z tobą... Będziem sobie jedli, pili, na spacer pod rękę chodzili i... ja ciebie nigdy nie opuszczę... aż do śmierci... tak mi Panie Boże dopomóż...

Łagodnym ruchem powiódł dłonią po ognistych jej włosach a potem wyciągnął się leniwie, obie ręce za głowę założył i twarzą zwrócony ku obłokom, wlepił błyszczący wzrok w jeden punkt nieba. Szare oczy jego, ocienione płowemi brwiami, miały w tej chwili wyraz wcale nie dziecinny. Odbijało się w nich marzenie jakieś niespokojne i namiętne. Po ściągłej, chudej twarzy przelatywały drgnienia i uśmiechy. Marcysia pochylona nad nim, z twarzą opartą na dłoni, kołysała się z lekka i głęboko nad czemś myślała.

— Władek! — ozwała się z cicha po chwili.

— A co? — zapytał.

— Ja tobie jutro znów obwarzanek przyniosę, a może bułkę.

— Wyżebrzesz znów?

— Aha!

— Dobrze! przynieś! a może i papierosku gdzie znów znajdziesz, to przynieś, a ja jak gołębie sprzedam, kupię dla ciebie dwa cukierki.

— Aj, aj! cukierki! — zawołała i cała twarz jej stanęła w promieniach niewymownej radości.

— Władek — szepnęła znowu.

— A co?

— Ja jutro pójdę do jaru, fartuszek berberysu nazbieram i na mieście go sprzedam... czy ty pomożesz mi zbierać berberys?

— A czemu nie? pomogę.

— Jak sprzedam, te pieniądze ci oddam, kupisz sobie ładną chusteczkę na szyję.

— Ot chusteczkę! nie chusteczkę, ale haczyki do wędki! pójdziem do rzeki ryby łowić! dobrze?

Klasnęła w ręce.

— Aj, dobrze! dobrze!

Umilkli i wyprostowali się, bo w pobliżu dały się słyszeć stąpania.

Słońce zaszło już całkiem. Na wieżach kościelnych pogasły płomienne krzyże, okna domów miejskich zczerniały, w dole, u stóp wysokiej ściany jaru z przyczepioną do niej chatą, na której dachu siedziało dwoje dzieci, czarno już było zupełnie, a wśród czarności tej drżały ciche szumy i cichsze jeszcze pluskania. W chłodną tę zapadlinę zalatywał już wiatr nocny i chwiejącemi się gałęźmi wierzb mącił śpiącą wodę. Na ścieżce od przedmieścia wiodącej ukazała się w zmierzchu postać kobieca, niska, gruba, wielką chustą okryta i ciężkiemi krokami zbliżała się ku chacie.

— Stara już idzie! — szepnął Władek — zaraz zawoła mnie... idź ty już sobie, Marcysiu, bo jak zobaczy nas na dachu, domyśli się zaraz, żeśmy gołębia przywiedli!

— Dobranoc! — szepnęła Marcysia.

— Dobranoc!

Zarzuciła mu na szyję ramiona i pocałowali się.

W chwilę potem, młode drzewko rosnące przy ścianie chaty zaszeleściło i zachwiało się; Marcysia zsunęła się zeń cicho, lekko jak cień, chyłkiem pomknęła pod niskim płotkiem i okrążając zdala kobietę idącą ścieżką, niepostrzeżona przez nią zbiegła z pochyłości jaru i wolniej już dążyć zaczęła ku tłoczącym się tłumnie nad brzegiem rzeki, domom i domkom przedmieścia. Idąc, poważnie skrzyżowała ramiona i najdonośniej jak mogła śpiewać zaczęła:

„Pod drzewem, przy drodze,
Spało sierot dwoje,
Drzewo się złamało
Zabiło oboje, za-bi-ło oboje!“

Dziecinny głosik jej podobny do srebrnego dzwonka wzbijał się w górę i dolatywał ku chacie, której drzwi stara kobieta otwierała ze zgrzytem i stukiem.

— Władek! — krzyknęła obracając klucz w zamku.

Chłopiec leżący na dachu milczał.

— Władek! — podnosząc głowę i starając się spojrzeć na dach powtórzyła kobieta — chodziłeś dziś na gołębie, czy nie?

Władek milczał.

— Nie ma go tam czy co? — mruczała stara — pewno nic dziś nie upolował i chowa się teraz przedemną, albo może i po ulicach włóczy się... nicpoń... ulicznik... łotr jakiś...

Z ostatniemi wyrazami weszła do chaty i ze stukiem drzwi za sobą na klucz zamknęła. Z za drzwi krzyknęła jeszcze.

— Nocujże sobie na podwórzu kiedyś taki...

W tej samej chwili, z dołu i zmroku doleciał znowu cieniutki lecz donośny i czysty głos śpiewającej Marcysi:

„Oboje zabiło,
Oj, dobrze zrobiło,
Żadne nie zostało
By z żalu płakało, by z żalu pła-ka-ło!

Władek z podniesioną głową i wytężonem uchem słuchał, a gdy srebrny głosik zmilkł w oddaleniu, rzekł.

— Oto śpiewa! aż dusza rośnie!

(C. d. n.)

JAN ŁASKI

ARCYBISKUP GNIEZNIEŃSKI

SPRZYMIERZEŃCEM SUŁTANA TURECKIEGO.

SZKIC HISTORYCZNY

przez

DRA ALEKSANDRA HIRSHBERGA.

(*Ciąg dalszy.*)

Potwarze tego rodzaju, rzucone na takiego męża jak Łaski, mogą być tylko podstawą do ocenienia szalonej nienawiści Krzyckiego do prymasa, w niczem zaś sławy jego zmniejszyć nie zdołają.[1])

Nieco oględniej, jakkolwiek w istocie z niemniejszą niechęcią i uprzedzeniem wyrażał się o nim Tomicki w listach do zaufanych przyjaciół. Podkanclerzy również nazywa go „człowiekiem bez charakteru, kłamcą i szalbierzem,“ który „niebo i ziemię gotów był poruszyć dla swych spraw prywatnych i własnych korzyści i w tym celu odważał się na rzeczy najniegodniejsze i najszkodliwsze“ [2]). Tomicki przestrzegał nawet przed zawiązywaniem bliższych stosunków z arcybiskupem, gdyż „związki tego rodzaju mogłyby ludzi najlepszej sławy pozbawić dobrej opinii u króla i wszystkich dobrze myślących“ [3]).

---

[1]) Profesor Z. Węclewski powiada w rozprawie swej „O poezyach Andrz. Krzyckiego“ (Pamiętnik Akad. um. w Krak. Wydz. filol. i hist. — filoz. T. I. str. 227), że zarzuty czynione przezeń Łaskiemu są „wyrazem rozżalonego bezprawiami patryoty.“ Z zdaniem tem, niczem zresztą nie umotywowanem, nie możemy się zgodzić, gdyż błędów i pewnego rodzaju nadużyć Łaskiego nie podobna nazwać „bezprawiami.“ Gdyby arcybiskup rzeczywiście popełnił jakiś czyn, na taką nazwę zasługujący, z pewnością obszernieby się o tem rozpisywali jego przeciwnicy, a korespondencyą ich w tej sprawie mielibyśmy przechowaną w Tomicyanach, które układał Stan. Górski, stronnik Tomickiego, a nieprzyjaciel Łaskich. Zresztą tak idealne — według Szan. Autora — pobudki Krzyckiego w wysokim stopniu podaje w wątpliwość charakterystyka poety, skreślona przez tegoż samego Górskiego, a nadto sam punkt wyjścia owej niechęci do arcybiskupa t. j. sprawa o kantoryą i kanonią gnieźnieńską. Prof. Zeissberg, tamże str. 31 — 32; J. M. Ossoliński. Wiadomości histor.-krytyczne t. IV. str. 146, 150, 152, 161, 169.

[2]) Acta Tomic. t. IV. nr. XLIII, LV; t. V. nr. CCCV; t. VI, nr. LX etc.

[3]) Tamże, t. IV. nr. LV.

*

W niechęci swej do Łaskiego nie ograniczał się podkanclerzy do tego rodzaju ogólnych zarzutów, lecz nadto postępowaniu jego w ważnych sprawach krajowych przypisywał pobudki, w wysokim stopniu ubliżające. Najbardziej złośliwym jest zarzut, uczyniony prymasowi w sprawie projektowanego przezeń małżeństwa Zygmunta z Anną, księżniczką mazowiecką. Arcybiskup zalecał je głównie dla tego, aby w ten sposób ścieśnić węzły, łączące Mazowsze z Polską i przygotować zupełne połączenie dzielnicy mazowieckiej z królestwem. Wzgląd ten tem bardziej zasługiwał na uwagę, że właśnie wówczas matka księżniczki Anny, wdowa po Konradzie III, śmiało i konsekwentnie dążyła do zwolnienia stosunku lennego, w jakim Mazowsze zostawało do Korony [1]). Wobec takich usiłowań księżny mazowieckiej trudno zaprzeczyć, że ów projekt Łaskiego odznaczał się myślą prawdziwie polityczną. Tomicki jednak, gorący zwolennik planów, podsuwanych Zygmuntowi przez cesarza Maksymiliana, nie mógł czy nie chciał tego zrozumieć, a natomiast nie wahał się twierdzić, że arcybiskup działał w tej sprawie przekupiony [2]) !

Niechęć i uprzedzenie Tomickiego niemniej jaskrawo objawiły się w zarzutach, czynionych Łaskiemu w sprawie opodatkowania duchowieństwa, uchwalonego na sejmie bydgoskim w roku 1520. Arcybiskup tak wówczas jak w roku następnym starał się nakłonić stan duchowny do udziału w ponoszeniu ciężarów publicznych i sam pod tym względem najlepszym przyświecał przykładem [3]). Zdawałoby się, że w tym wypadku nie podobnaby upatrywać w jego działaniu pobudek i celów wyłącznie osobistych. Jednak podkanclerzy i w tej sprawie nie zdołał się powstrzymać od podejrzywania arcybiskupa, że i tutaj tylko swe własne plany miał na oku [4]) !

Takie stosunki istniały od r. 1514 między prymasem a Tomickim. Rozdrażnienie, wywołane ową sprawą o kantoryą i kanonią gnieźnieńską, nie ustępowało z czasem, lecz przeciwnie coraz większe przybierało rozmiary [5]). Powiększały je z jednej strony pełne jadowitej złośliwości wierszydła Krzyckiego, z drugiej nieustanne prawie działanie arcybiskupa na korzyść swoich krewnych i stronników, a przedewszystkiem najbliższych członków rodziny. Usiłowania te drażniły przeciwników tem bardziej, iż pomimo znacznego ich wpływu u dworu, najczęściej osiągał Łaski cel swoich życzeń.

Starania i zabiegi arcybiskupa zmierzały od roku 1520 przedewszystkiem do zapewnienia dwom starszym z jego synowców [6]) przyszłości, odpowiadającej śmiałym dążeniom prymasa.

Już od dzieciństwa otaczał ich Łaski prawdziwie ojcowską troskliwością, ogromne sumy

[1]) Kozłowski. Dzieje Mazowsza, str. 362. — St. Lukas, Erazm Ciołek, biskup płocki etc. (Bibl. warsz. 1877. Listop. str. 189 — 190).

[2]) ....conductus parvo emolumento ducis Masoviae... Tomicki w liście do Łuk. Górki, kasztelana pozn. (Acta Tomic. t. IV. p. 51).

[3]) Zeissberg, tamże str. 58 — 60.

[4]) Acta Tomic. t. VI. nr. LX. — Zeissberg, tamże str. 60.

[5]) Walka ta coraz szersze obejmowała koła; za prymasem a przeciw Tomickiemu wystąpił poeta Anianus, który przybył z Francyi do Polski razem z Janem Łaskim, synowcem arcybiskupa. Wystąpienie to wywołało obronę podkanclerzego ze strony kilku młodzieńców, kształcących się na koszt jego w Krakowie, jak Hozyusz, Konarski i i. (St. Górski w objaśnieniach do poezyj Krzyckiego. Rps. Bibl. Ossol. l. 158 str. 121).

[6]) Hieronim i Jan Łascy, synowie Jarosława wojewody sieradzkiego.

łożył na ich wychowanie i podróże, a kochał tem bardziej, że nie tylko widział w nich synów swojego brata rodzonego, ale nadto młodzieńców, pełnych niepospolitych zdolności, a więc godnych spadkobierców swych ambitnych planów. To też przez ostatnich dziesięć lat swojego żywota sędziwy już podówczas arcybiskup pracował prawie nieustannie, aby im jak najwięcej przysporzyć mienia i dochodów, jak. najszybciej wpływem swym wyjednać nadanie wyższych godności i dostojeństw.

Najstarszy z synowców prymasa, Hieronim [1]), ukończywszy nauki we Francyi, na dworze królewskim [2]), odbył pielgrzymkę do Ziemi świętej [3]), poczem z początkiem roku 1519 powrócił do kraju. Zygmunt I. przyjął go w poczet swych dworzan [4]) i już w kwietniu tegoż roku, na prośby arcybiskupa, dał pierwszy dowód łaski królewskiej, nadając mu jako dożywocie dom z ogrodem, położony na przedmieściu w Piotrkowie [4]). W roku następnym ożenił go arcybiskup z Anną Kurozwęcką [5]), bogatą dziedziczką rozległych dóbr w województwie krakowskiem i sandomierskiem [6]). Odtąd szybko wzrastał Hieronim w powagę i znaczenie, a przy nieustannych zabiegach prymasa z łatwością do coraz wyższych dochodził dostojeństw. W roku 1520 widzimy go krajczym królewskim [7]), w trzy lata później (1523) wojewodą inowrocławskim [8]). Z końcem tegoż roku 1523 posunął go król na wyższe krzesło w senacie, mianując wojewodą sieradzkim [9]). Godności te osiągał młody Łaski tem łatwiej, że równocześnie dał się poznać z swych zdolności dyplomatycznych, sprawując kilka poselstw do najpierwszych z ówczysnych monarchów europejskich. W ten sposób już w 27 roku życia uzyskał jedno z wyższych miejsc w senacie, a jako członek rady królewskiej i biegły dyplomata miał otwarte pole do dalszych zaszczytów i godności.

(C. d. n.)

[1]) Ur. 27 Września 1496 r. Acta Tomic. Kod. Sap. t. X. k. 284a (obecnie w Bibl. kórn.)

[2]) Fran. Balduini De legatione Polon. oratio. (Lutetiae, 1573) k. 28b. — Czasop. nauk. Ossol. 1830. Zeszyt I. str. 10.

[3]) Wynika to z tytułu „miles Jerosolimitanus,“ jakiego używał Hieronim w latach 1519 — 20 (Metr. kor. ks. 34 f. 57b i f. 348b. — Por. Testam. arcyb. Łaskiego k. 29a. 35a). Tytuł ten lub „miles s. sepuleri“ i t. p. przybierała wówczas szlachta po odbyciu pielgrzymki do grobu Zbawiciela. Por. Spom. o Łaskich (Monum. Pol. t. III. str. 265) i Malinowski, Stan. Łaskiego prace nauk. i dypl. str. XVII.

[4]) 7. Kwietnia 1519 r. Metr. kor. ks. 34 f. 57b.

[5]) Rps. Bibl. Ossol. 158. str. 120. Metr. kor. ks. 34 f. 348b. ks. 37 f. 20a.

[6]) Acta Tomic. t. VI. nr. LXIX.

[7]) Metr. kor. ks. 34 f. 348 b. — Acta Tomic. t. V. nr. CLXI, CXCVI i CCXCI.

W r. 1520 starał się arcybiskup wyjednać dla Hieronima także kasztelanią wojnicką (Acta Tomic. t. V. nr. CLXI), a następnie starostwo kamienieckie (tamże, nr. CCVI), ale usiłowania jego w obydwóch wypadkach żadnego nie odniosły skutku. Natomiast udało się Hieronimowi — zapewne nie bez poparcia ze strony prymasa — z początkiem r. 1522 (5. Stycznia) uzyskać od króla pozwolenie na wykupno dóbr szczawińskich (Szczawin w ziemi Łęczyckiej) i nadanie ich jako dożywocia (Metr. kor. ks. 35 fol. 611).

[8]) Wojewodą inowrocławskim został Łaski przed 4. Marca 1523 r. Metr. kor. ks. 37. f. 376. — Por. Inscriptiones castri Crac. lib. 33 p. 893, 896, 1014. lib. 34 p. 122, 125, 131. Metr. kor. ks. 37. f. 453 b. Acta Tomic. t. VI. nr. CCXXII.

[9]) Przed 13 Grudnia 1523 r. Metr. kor. ks. 36. fol. 426.

STUDYA ESTETYCZNE.

przez
Wojciecha Dzieduszyckiego.

(Ciąg dalszy.)

Bądź co bądź coraz lepsza technika i coraz to miłośniejsza słodycz tych obrazów przyczyniły się do głośnej sławy Rafaela i do tego, że go do Rzymu na dwór Juliusza II powołano, by tamże w Watykanie, z razu dla próby jedną salę wymalował *alfresco.* Malarzowi Madon kazano mnóstwo postaci namalować i w jeden obraz złączyć; zawahał się tedy młody mistrz i zanim zaczął wykonywać olbrzymie freski spróbował swe siły na obrazie, w którym niejako zamknął cykl ludzkiego życia. Odmalował ideał pogrzebu, złożenie do grobu, przechowane dziś w Palazzo Borghese. Widać tu nagiego Chrystusa niesionego przez rozżalonych młodzieńców, nad którym kobiety płaczą, i widać tu, że Rafael już stanowczo uwierzył w grecki ideał, i że go odnalazł w zupełnej czystości, używając nawet strojów starożytnych, raz dla prawdy dziejowej, a drugi raz dla tego, że one właśnie najmniej nas przenoszą w czas i przestrzeń ściśle ograniczone, i najbardziej człowieka tylko nam przedstawiają, a nie człowieka z tego lub owego narodu i wieku. W tym obrazie mógł Rafael przekonać i siebie i drugich, że nikt od niego nie umiał lepiej malować nawet wówczas i we Włoszech, bezpieczniej tedy wziął się malować *„Stanzę della Segnatura“*, i to właśnie w tej samej chwili, w której starszy Michał Anioł sufit Sykstyny wykonywał.

Tu przedsięwziął Rafael idealizować nie już główne chwile życia pojedyńczych ludzi, ale treść życia ludzkości, o ile się nie trzyma potrzeb ciała. Na suficie odmalował tedy cztery bogiń: Teologią, Filozofią, Poezyą i Prawo. Teologia sparta o księgę siadła z natchnionym wzrokiem pośród obłoków i zna Boga, Filozofia zamyślona i poważna wśród ksiąg jest panią myśli i rachuby, liczby i duchownego ładu, a przyczyn znawczynią bogini Prawa miecz karzący i wagę trzyma w ręku, bogini Poezyi lirę dzierży, i siadła z wieńcem na czole, natchniona cała, przez Boga owiana mistrzyni słowa i sztuki. Oto potęgi, które stanowią o wyższej człowieka naturze. Prawo wstrzymuje zwierzę, gdy się w człowieku budzi, i poskramiając łakomstwo i chuć daje zakwitnąć myśli, modlitwie i natchnieniu, daje człowiekowi być sobą. Siadły tedy na ścianie pod boginią orężną. Siła na lewo, pancerna mężyni z gałęzią dębową w ręku patrząca posłusznie w twarz nieruchomej Mądrości, co nad nią siadła na stolicy; i Mądrość surowo z grecka przyodziana, nieruchoma, opatrzna, groźna prawie, zapatrzona piękną niewieścią twarzą w zwierciadło trzymane przez anioła, a męzką starą twarzą co się z pod włosów stylu niewyraźnie wychyla, bacznie patrzącą w świat; i siadła wreszcie pani Umiarkowania, z klasztorna przebrana, co pochodnię podaje aniołkowi, by ją zaniósł Mądrości. Mądrość tedy co i świat i siebie zna, powinna prawa wydawać zapytawszy wpierw o radę Umiarkowanie, a siła winna jej rozkazy wykonać. Oto nauka, którą wyczytasz na obrazie wśród owych idealnie pięknych niewiast; oto cena, za którą może człowiek wyższego użyć życia. Najpierw tedy wyrwany władzy zwierzęcych chuci wierzyć będzie, i patrz jaki mu cud wiara okaże. Oto pod Teologią stanęła gorąca nadprzyrodzonym światłem „Disputa del Sacra-

mento“ dziwnie nazwany cud malowania. Po środku obrazu, wśród powietrza siadł półnagi Chrystus na stolicy obłoków, młodociany, cudnie piękny, cały miłością natchniony, i ręce otwiera wołając: kochajcie, kochajcie tylko, a ja was do boskiego przycisnę łona. Przy nim na prawicy, na tejże chmur stolicy Marya w błękitny płaszcz utulona, w syna zapatrzona, cała w jednej z nim miłości pogrążona, na lewicy Jan Chrzciciel, nagi, brodaty, żylasty, męski i surowy, co Chrystusa ludom wskazuje, mówiąc: Oto baranek Boży.

Obłoki tworzą dokoła stolicy Chrystusowej półkole zwrócone rogami do góry, na tem półkolu siedli w chwale święci pańscy i patryarchowie, apostołowie i prorocy, i z miłością wielką, płomienistą, patrzą w Chrystusa, piękni jak bogowie greccy a szczęśliwi zachwytem. Grono ich niewielkie; są to tylko wybrani wśród wybranych, ci co Boga nadewszystko ukochali, i co najgłośniej o nim świadczyli. Nad głową Chrystusa stanął wśród promieni na pół-widomy Bóg Ojciec w postaci starca, i uwisł Duch Święty jako gołąbek. Kilku aniołów ulatuje nad świętymi, a aniołkowie nadzy i rozkoszni, u stóp Chrystusa, dźwigają wśród chmur ewanielie kończąc u dołu obrazu wyższą połowę, w której zjawione piękno doskonałe, idealne, nieskalane, oświecone światłem słonecznem cudu i nie groźne jak niegdyś w Helladzie ale tak pełne miłości i zgody, że ciebie gwałtem do siebie woła, na łono doskonałości, że ciebie wywyższa siłą kochania po nad świat ludzki, że niestrasznem dla ciebie czyni przebywanie w bóstwie, i że budzi w twej piersi wielkie bicie serca, podobne do bicia skrzydeł, unoszące cię miłością, uczuciem patetycznem nieznanem pogaństwu wobec ogromu boskiego ideału.

To wiara w mistycznem zachwycie co się ludziom jawi, a u dołu widać ludzi dokoła ołtarza z przenajświętszym sakramentem. Biskupi to i mnisi, którym się cud ów zjawił, i którym święty Ambroży z podniesioną ręką cud tłumaczy. Na lewo prowadzi do ołtarza młodzieniec jakiś kilku nowonawróconych, a dziwna piękność i słodycz dziwna widne na młodzieńczej twarzy, na prawo przepowiadają przyjście zbawiciela jacyś starożytni filozofowie. I oto na ziemi przyjęte objawianie budzi w pięknych męzkich postaciach owe uczucia, których się Chrystus u góry domaga: miłością płoną.

I w każdym obrazie Rafaela żąda miłości choćby jeden z owych przedziwnie żywych ludzi odtworzonych przez jego pędzel, i nigdy tak się nie łączysz słodko z ideałem, tak się nie potęgujesz wyraźnie boską miłością, jak kiedy się wpatrujesz w to co Rafael stworzył. Ale tymczasem spojrz po nad okno, pod postać poezyi, a ujrzysz drugi dar, które Prawo ludziom daje, ujrzysz boski wczas, wśród którego rozum o pięknie marzy. Pod wawrzynowem drzewem, w cichem świetle wieczór siadł Apollo nagi, i gra na skrzypcach, wcale anachronistycznie, dokoła niego używają przechadzki i miłej rozmowy niewiasty piękne i mężowie w draperyach, i poznasz wśród nich Dantego z surową dziwną twarzą, ślepego piewcę Homera, Wirgiliusza i natchnioną Safonę. Jesteś wśród ludu poetów co lotnym przewiewnym marzeniom ciało nadaje, co ludzkość co chwila uśmiechem wyrywa od nudu, jesteś wśród ludu co nadaje urok wczasowi, i wszędy na obrazie widzisz swobodę i szczęście, a z niejednego oka patrzy na cię czułość Rafaela. Szeleszczą jedwabie, unoszą się w powietrzu wieczornem pieśni, a rozmowa rozumna i upojona pięknem wieczora toczy się między szczęśliwemi niewiastami, i szczęśliwymi mężami; oto zaiste atmosfera, wśród której powstaje matka poezya „przez Boga natchniona“ muza wiecznie młoda, co wiecznie nowych upaja kochanków.

Na trzeciej ścianie przedmiot poważniejszy i obraz najgłośniejszy; tu stanęła przed tobą szkoła Ateńska, tu jawi ci się ludzkość, co nie czuje już i nie marzy, jedno myśli i rozumie, co już nie uczuciem pędzi do Boga zjawionego w chmurze, ale rozumem patrzy jemu oko w oko, tu stanęła filozofia, w którą snać Rafael wierzył, którą poznał, wśród której uczniów odmalował sam siebie.

W dyspucie płonęło światło Boże, na Parnasie dychał wieczór chłodny, w szkole dzień pełny choć ziemski jaśnieje. Święci gdzieś uwisli wśród przestrzeni, poeci pozwalali wyobraźni bujać po zielonych gajach, myśliciele zebrani w olbrzymiej sali. Na pierwszym planie rozciąga się sień sklepiona ogromna, o mozaikowej posadzce; w głębi wschody marmurowe, i przestrzenie podobne do kościoła z odrodzenia za wschodami zakończone łukiem; a na ścianach framugi z posągami Apolina i Minerwy. Architektura to wspaniała, dzieło ludzkie będące godnym przybytkiem ludzkiej wiedzy.

Na wschodach, w głębi w samym środku obrazu stanęli królowie myśli, Platon i Aristoteles. Platon stoi trochę za Aristotelesem, ale kroczy po prawicy; obaj uczą jak po ruchu rąk widać, obaj z grecka udrapowani pełni siły i powagi, stanowią środek obrazu. Aristoteles stanął od Minerwy, od Apolina Platon, boć jeden bardziej uczony, bardziej poetą drugi. Słowo ich, nauka ich rozeszła się po gmachach, i poruszyła wszystkich dokoła pragnieniem wiedzy.

Przed obydwoma mędrcami stanęła przestrzeń próżna, a grupy po bokach swobodnie ułożone, ale tak, że od środka siedzą postacie, potem stoją, a u boków wchodzą na estradę, tak że wraz z architekturą tworzą koło w około środkowych postaci, koło, wśród którego zakreślono mniejsze kółka z dziwną przejrzystością układu, z wielką jednością w rozmaitości życia.

Od strony Apolina i Platona ugrupowano na pierwszym planie filozofów *a priori*, tych co z własnego łona i z myśli własnej pragnęli budowę świata dźwignąć i odgadnąć myśl Bożą; piękni tu starcy siedzą w zadumie, myśląc o harmonii sfer, młodzieńce z miłością patrzą w świat, a Anaksagoras Pitagorasowi mówi wskazując na księgę—zagadka światów którą szukasz, to rozum najwyższy co światom nadał prawa.

Po przeciwnej stronie mniej liczna grupa stanęła. Matematycy i astronomowie dźwigają w ręku sfery, albo szukają prawd na posadzce z cyrklem w ręku, to uczniowie Aristotelesa i Minerwy, filozofowie a *posteriori*, ci co opisują i badają zjawiska, by z pojedyńczych danych całość świata nie odgadnąć już ale ułożyć.

W głębi na schodach rozrzucono pojedyńcze postacie, co samotnie żyły wśród uczonych, w starożytnym świecie, co miały własne szkoły, a nie były uczniami Platona i Aristotelesa. Legł na schodach cyniczny Diogenes, Sokrates dysputuje z Alcybiadesem, Zenon stanął w dumnéj samotności, a jeżli widać tu i głowę Rafaela, nie dziwota, bo widać na malowaniu, że znał owych myślicieli, że dzielił ich spokój, że umiał zapraszać widzów do owych gmachów wiedzy, wśród których ludzie stają się do bogów podobni.

Tak tedy w tej komnacie rozwinął Rafael myśl swoją o duchowem życiu ludzkości. Póki niestrzeżone ręką prawa zrodzić się nie może, ale pod pieczą sprawiedliwości staje się cudnem i godnem sztuki. Wiara, najpierw ideał jawi narodom i uczy ich miłości, a rośnie ideał gdy poezya i sztuka przyjdą legendę uświęcić i dzieje utrwalić, a dojrzywa gdy się staje myślą i wiedzą. Tak rozumiał świat Rafael, i tak świat odmalował w papieskim pałacu.

I wtedy to umiał już Rafael odmalować ideał matki, i stworzył Madonnę na krześle, „*La Madonna della Sedia*“, perłę i ozdobę galeryi Pitti. Nie ma nic cichszego, prostszego i mniej pretensyonalnego od tego obrazu, artyści z rzemiosła twierdzą, że Rafael nie rozwinął w nim tak wielkiej biegłości pęzla jak gdzieindziej, nie szukając efektów światła i gorącej barwy, nie grupując misternie tłumu osób i nie okazując nagich, choćby dziecinnych tylko ciał, a oko widza nie od razu przyciągnięte do obrazu, w którym wszystkie barwy zagłuszono. A jednak, mimo to wszystko, nie ma na świecie obrazu tak ukochanego nie przez turystów tylko, ale przez świat cały jak ta Madonna. Znajdziesz jej kopię w każdym prawie domu, i to nie dla tego, aby się wydawała mistyczną panią dusz, do której się modlić trzeba. Tych, którzy szukają kościelnego obrazu nie zadowolni nigdy ta kobieta dwudziestokilkoletnia we wschodnim może trochę, ale nie malowniczym i niezakonnym stroju, co tłuste, prozaicznie w koszulkę przyodziane dziecko trzyma na kolanach, otuliwszy je ramionami i sparłszy o jego głowę twarz. To tylko matka ludzka, ale matka w ideale, piękniejsza od innych, spokojniejsza od innych, co jakby opieką otuliła także idealnie piękne spokojne dziecko. Nic tu nie ma teatralnego; ani strój, ani układ nie nadzwyczajne, widziałeś ten obraz tysiąc razy w rzeczywistości, ale nigdy tak piękny jak tu, nigdy tak pełny miłości tej co wygląda z oczu Maryi, i z oczu owego starszego chłopczyka, świętego Janka, co u stóp cudnie cichej matki odmawia pacierze. (C. d. n.)

RUTEŃCY

TYPY I PORTRETY GALICYJSKICH „LUDZI“.

III.

Zniechęcony.

— Ach! panie Denysie, panie Denysie — jakiż to pan lekkomyślny!

— Ach! panno Róziu, panno Róziu — jakaż to pani łaskawa! Myślałem, że mię pani nazwie przynajmniej rozbójnikiem lub wisielcem, — a to tylko lekkomyślnym!

Pan Denys, młody, dwudziesto-ośmioletni mężczyzna o regularnej, choć całkiem życia i krwi pozbawionej twarzy, siedział wyciągnąwszy się na sofie i mówiąc przedrzeźniał cienki głosik panny Rózi.

— Śmiej się pan, śmiej, — odrzekła panna, kryjąc nieprzyjemne uczucie siląc się na wesoły ton, — ale zawsze to źle, że pan siedzi tutaj na wsi, założywszy ręce, podczas gdybyś pan mógł tak łatwo dostać posadę. Wielka rzecz było pojechać do Lwowa, przedstawić się gdzie należy, i już! A pan, w dodatku, jeszcze takie podanie wypisał, że chyba...

— Co? Chyba warjatowi uszłoby coś podobnego? Wszakże to pani chciała powiedzieć?

— odrzekł pan Denys, patrząc na nią z niezamąconym, prawie nawpół idyotycznym spokojem.

— Nie to, nie to, — odpowiedziała panna Rózia dobitnie, a rumieniec gniewu oblał jej śliczną twarz.—Coś podobnego mógł napisać tylko... tylko ruski literata!

— A, brawo! Ten dowcip udał się pani!— odrzekł pan Denys.—Ale jedno mię tylko dziwi, że pani tak rada pozbyć się mię. Dlaczego? Chyba nie staram się panią bawić, jak umiem i mogę?

— Ach! co za szarmant!—krzyknęła ironicznie panna Rózia,—stworzony na to, by bawić popadianki! Zapewne pan na to i uniwersytet skończył, by się wydoskonalić w sztuce bawienia panien?

Pan Denys nie odpowiedział na to, przeciągnął się tylko, westchnął i rzekł dopiero po długiej chwili:

— E, co to wszystko znaczy,—jakoś to będzie!

— Tak, tak,—jakoś to będzie,—odpowiedziała panna Rózia.—Niech pan czeka, aż pan Bóg panu posadę z nieba spuści, a wtenczas— no, wtenczas w istocie jakoś to będzie!

W tej chwili zawołano pannę Rózię do drugiego pokoju. Pan Denys został sam, ziewnął, wyciągnął się jeszcze wygodniej na sofie i wziął jakąś książkę do ręki. Lecz czytanie znudziło go niebawem. Położył książkę na stole,—mruknął pod nosem: „No, to bym był głupstwo zrobił, gdybym się z tą ożenił! Miałbym kaznodzieję w spodnicy, i to nielada. I dienieg bracie, dienieg bat'ko nie da! Furda! Uśmiechnął się, czyli raczej wyszczerzył poczerniałe zęby, z których dwóch na przodzie całkiem brakowało. Uśmiech ten nadał twarzy jego jakąś odrażającą cechę, uwydatnił jeszcze lepiej jakiś martwy, trupi wyraz, który ją cechował.

— No i proszę kogo, medytował dalej—ona już teraz całkiem uważa sprawę za ubitą,—już myśli, że została małżonką „ruskiego literaty.“ E, panno Róziu, może to zawcześnie! Może „ruski literata“ wart czego lepszego!... Tylko, że czort jego wie, — jak się to człowiekowi nic a nic nie wiedzie! Czy licho jakie, czy co? Jeszcze sprobuję jutro, na praźniku,—może się uda z którą Krzyczewiczówną, lub z panną Wrzeszczewiczówną... Prawda, panny nieszczególne, — ale dieńgi, brat, dieńgi jest! Zobaczymy!

Z tem postanowieniem pan Denys zamilkł, położył się wygodnie i zapadł w sen poobiedni.

Pan Denys, to jeden z najciekawszych typów obecnego ruskiego społeczeństwa. Ludzi podobnych jemu, zwie ruskie „towarzystwo“ zwykle „dowcipnymi,“ „ciekawymi,“ „zabawnymi“ itp., chociaż nikt nie zdaje sobie sprawy, co właściwie w nich jest zabawnego i czy dowcipy ich rzeczywiście są dowcipne. Talent ich—prawić stare komplementy starym pannom, albo pod każdym względem niewinnym popadiankom, opowiadać całemi godzinami anegdotki, lub historyą własnych miłostek i „moich pierwszych najdroższych“— talent—zalewania wszystkich potopem słów, od których nikomu niebywa ani zimno ani gorąco,—ten przedziwny, specyalnie ruteński talent uwodzi ich nieraz do tego stopnia, że próbują swych sił w literaturze, zaczynają „olbrzymio zakrojone“ powieści i zwykle tracą cierpliwość po pierwszym rozdziale. Ale jak wyrabiają się podobne typy? Dla przykładu opowiem historyą pana Denysa. Syn zamożnego plebana z podolskiej wsi, wyrósł on w dostatku, pieszczony osobliwie przez matkę, która mu nigdy niczego odmówić nie mogła. W normalnych jeszcze szkołach stracił ojca i razem z jego śmiercią wyschło źródło wygód i dostatku, do których Denys, już wówczas 13-letni chłopak, miał czas dostatecznie przywyknąć. Nastąpiły dla niego ciężkie czasy. Pomoc, jaką otrzymywał od matki, nie mogła zaspokajać wszystkich jego pragnień,— trzeba było nie jednego sobie odmówić, nie w jednym względzie się ścieśnić. Ale tęsknota za dawnym dostatkiem, za dawnem spokojnem i lubem życiem bez kłopotów i niewygód nie zamierała w nim, owszem, ciągle wzmagała się i rosła, ile że była częściowo tylko tłumioną. Młody Denys musiał dawać lekcye, by nie być matce nadmiernym ciężarem,—a robił to tem chętniej, że zapracowany grosz dawał mu bodaj na parę dni środki— żyć wedle upodobania, trwonić i wydawać pieniądze na rozmaite łakocie lub bezużyteczne zabawy. Doszedłszy do wyższego gimnazyum, pan Denys stał między dwoma ogniami, trawiły go dwie żądze: nabywania pieniędzy i trwonienia ich. Namiętność do kart także dość wcześnie rozwinęła się w nim; nie zaspokojone żądze popchnęły go do używania gorących napojów, i wszystkie te niszczące wpływy podkopywały powoli jego zdrowie, zniszczyły pierwotną żywość temperamentu, przygłuszyły dobre i szlachetne popędy serca. Dopóki jeszcze był w gimnazyum, miarkował się jeszcze i udawał porządnego, bojąc się wypędzenia ze szkół. Lecz gdy złożył maturę i zapisał się na uniwersytet, wtenczas wolność uniwersytecka dobiła go do reszty. Nic go tu nie krępowało oprócz braku środków materyalnych. Lekcye, dyurna i inne pozaszkolne sposoby zarobkowania dostarczały mu zbyt mało, ciągłe niezadowolenie gryzło go, paliło, biegał nieraz po mieście, jak szalony, to siedział w domu nad książką, myśląc tylko o tem, „zkąd by tu wziąć?“ Czasem napadała go gorączkowa pilność, wówczas rzucał się chciwie do nauk, potem naraz pilność niknęła i wyjeżdżał na wieś do matki lub do którego z kolegów, gdzie przesiadywał bez najmniejszego zajęcia całe miesiące. Ten ostatni sposób życia w wiecznej gościnie, na cudzym chlebie, bez zajęcia, bez myśli o jutrze, bez żywszego interesu, podobał mu się nadzwyczajnie, i im więcej żywał się z nim, tem stawał się spokojniejszym, więcej drewnianym w duchu, więcej rozmownym a nawet wesołym w mowie. Czasami tylko, gdy nudy na wsi były już nadto „śmiertelne“, brał pióro do ręki i rozwlekłym, pretensyonalnym stylem pisał powieści, które doprowadzał zwykle do połowy i z których jedna była ponoś drukowana w pewnem ruskiem czasopiśmie. Ta powieść zjednała mu w kołach znajomych nazwisko „ruskiego literaty,“ ale zresztą i na autora i na otaczające go „towarzystwo“ nie wywarła żadnego wpływu.

Życie bez czynów, bez myśli i walki w wieku, kiedy czyn, myśl i walka są koniecznemi dla człowieka, życie wiecznego gościa, wiecznego pasożyta, wygasiło ostatnie resztki charakteru, mękkiej woli i siły w panu Denysie. „Ja taki łagodny!“ mawiał on zwykle o sobie, rozumiejąc pod słowem „łagodny“ wszystko to, cośmy właśnie o nim powiedzieli. Dawniej jeszcze budził się nieraz z tego zgniłego letargu, rzucał się tędy i owędy, lecz ponieważ to „rzucanie“ było nie obmyślane, doraźne i niestałe, dla tego też nie odnosiło nigdy pożądanego skutku. Czem dalej, tem było gorzej. Sił ubywało, bo siły potrzebują ćwiczenia, do którego pan Denys czuł nieprzełamany wstręt. Nigdy nie zadowolona żądza, wieczne zawody, rozumie się, dostatecznie umotywowane jego własnem lenistwem, zrodziły w nim niesmak i niechęć do wszystkiego, co tchnie pracą, mozołem, wypaliły w jego wnętrzu wszystkie żywe, młodzieńcze siły, podtoczyły energią woli, żywość uczucia. Nawet siła żądzy osłabła, zostało tylko niedorzeczne pragnienie chorego, kapryśnego dziecka, które radeby księżyc w ręce schwycić, a nie może nawet sięgnąć po kawałek chleba, leżącego tuż obok niego.

W tym czasie całkowitego upadku duchowego, całkowitego zacierania się osobistości ludzkiej, poznał pan Denys ojca panny Rózi, poczciwego plebana z wioski W. w jednym z żyźniejszych i bogatszych powiatów naszego kraju. Pan Denys słyszał dawniej już o pannie Rózi i myśląc, że ojciec będzie mógł dać za nią dobry posag, powziął myśl ożenienia się. Zajechał więc do domu jej rodziców i wedle swego zwyczaju rozgościł się w nim przez parę miesięcy. Panna Rózia, więcej dobroduszna niż doświadczona, byłaby chętnie oddała mu swą rękę, i z dnia na dzień czekała uroczystej chwili oświadczyn; pan Denys tymczasem ani myślał o tem, widząc, że w domu ubogo, że „jegomość nie zdziera chłopów i nie ma dużo bydła“ w oborze. Lecz dowiedziawszy się z rozmów o bliskim praźniku u rodziców panny Rózi i o tem, że mają tu zjechać bogaci księża Krzyczewicz z dwiema córkami i Wrzeszczewicz z jedną, postanowił zaczekać i próbować szczęścia. „Może też da się coś zrobić? Może to jakoś będzie“, ta myśl zastąpiła u niego zupełnie miejsce krytyki i rozwagi, ta myśl uspokajała go.

Nadszedł praźnik. Krzyczewicze i Wrzeszczewicze z pannami przyjechali. Panny były wprawdzie nie pierwszej młodości, nie pierwszej piękności i nieszczególnego wychowania, ale modne i wystawne stroje świadczyły o obfitości tego cudownego surrogatu, który w danym razie miał zastąpić młodość, piękność i wychowanie. Pan Denys, rozparłszy się w krześle (by pokazać, że on, kawaler ze stolicy), „bawił panny“, tj. plótł im niestworzone rzeczy i opowiadał historyą swej dziesiątej najdroższej. Panny, które dużo nasłuchały się o nim w okolicy, chichotały bez przerwy, jednem słowem „towarzystwo było wesołe“.

Po obiedzie młodzi ludzie wyszli do ogrodu na przechadzkę. Panny swoim zwyczajem, zaczęły obsypywać pana Denysa pytaniami.

— A, słyszałyśmy, słyszały—mówiła starsza panna Krzyczewiczówna. — Bardzo to ładnie z pana strony, w istocie! Winszujemy!

— No, cóż panie takiego szczególnego słyszały?

— Cha, cha, cha! Że się pan żeni! — piszczała udanym dyszkantem nie młoda panna Wrzeszczewiczówna.

— A, tak — odparł zwolna pan Denys — w istocie, tak jest.

— W istocie?—zawołały panny w jeden głos.

— Tak jest—rzekł pan Denys, zwracając się do starszej panny Krzyczewiczówny — jeżeli wolno mi będzie przedłożyć pani mą rękę.

Słowa te wyrzeczone były na seryo. Panna straciła kontenans, zarumieniła się i nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Nadto honoru dla mnie—wyrzekła wreszcie —ale jeżeli pan oprócz podobnych głupich dowcipów nie masz nic lepszego, to ja wypraszam sobie nadal takie żarty!

Spłonęła, odwróciła się i odeszła.

— Ach — zawołał uśmiechając się martwą swą twarzą pan Denys — ach, przepraszam panią, pomyliłem się! To ja chciałem pani (do panny Wrzeszczewiczówny) zrobić moje uniżone przedłożenie, i spodziewam się, że pani nie weźmie mych szczerych chęci za żart!...

— Co pan oszalał, czy co? — zawołała rezolutna panna Wrzeszczewiczówna — ja przecież od dwóch miesięcy zaręczona! Bardzo mi żal, panie Denys, ale...

Wyprostowała się dumnie i odeszła.

— Ha, to chyba pani pozwoli — rzekł pan Denys, obracając się do młodszej Krzyczewiczównej, że złożę...

— Ja nic nie pozwolę, proszę nie składać, proszę nieść dalej! — odpowiedziała panna i wziąwszy Rózię pod rękę, odeszła.

Pan Denys został sam.

— Niech was czort porwie — zawołał. — Nic z tego, a człowiek myślał, że przecież jakoś się uda! Ciekawym też, co na to starzy powiedzą. Żeby tylko nie kazali ztąd wyjeżdżać, bo do dyabła, nie ma się gdzie obrócić.

Lecz szczęście widocznie, nie sprzyjało panu Denysowi. Panny Krzyczewiczówny obraziły się na seryo, panna Wrzeszczewiczówna także nagliła ojca do odjazdu, praźnik spełzł na niczem. A gdy wreszcie i ojciec panny Rózi dowiedział się o całej historyi, zaprosił pana Denysa do osobnego pokoju, nagadał mu „trzy wory prawdy", jak zwykł mawiać pan Denys, wsunął mu w rękę 10 guldenów i oznajmił, że jego rzeczy za godzinę będą spakowane i umieszczone na bryczce, siedzenie zaś tej bryczki będzie przygotowane dla niego.

Pożegnanie było krótkie i bardzo chłodne, panna Rózia nie pokazała się wcale, lecz gdy pan Denys wsiadł już do bryczki i konie ruszyły z miejsca, mignęła mu w oknie twarz panny Rózi, zaczerwieniona od łez. Pan Denys splunął, wóz popędził wzdłuż gościńca i tuman kurzu zakrył go przed oczyma tej, która patrzyła z okien plebanii za odjeżdżającym. *J. F.*

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

III.

(Ciąg dalszy.)

Było to w 1851 r. Kryształowy pałac Paxton'a Anglicy podzielili na różne kwadraty, i jeden z takich kwadratów ofiarowali Amerykanom. W owe czasy sztuka ekspozycyjna znajdowała się jeszcze w kolebce. Ludzie byli tak naiwni, że gościnnie przyjmowali cudzoziemców, a podzieliwszy arenę wystawową na równe części, każdemu z państw zagranicznych dawali tyle przestrzeni, ile rezerwowali dla siebie. Dzisiaj już świat jest mądrzejszy — przekonał się, że w wydzielaniu przestrzeni cudzoziemcom, metoda homeopatyczna jest najskuteczniejsza.

Amerykanom ta naiwność czy też gościnność Anglików, nie była wcale na rękę. Pierwszy raz popisać się mieli przed Europą, po raz pierwszy stawali do konkursu, a tu nie było z czem konkurować. *Our Show is a mighty poor one*, mruczał pod nosem skonsternowany Yankee, przechadzając się po Paxton'owskim pałacu i widząc jak pustkami świeci oddział amerykański. Gutaperkowe buty, gutaperkowe kalosze, gutaperkowe waterproofy, gutaperka w bryłach i krążkach, słowem gdyby nie trochę kloszów ze zbożem, mógłby kto przypuścić, że w Ameryce jeden tylko produkt istnieje, jeden się fabrykuje, jeden stanowi całą treść życia przemysłowego Yankeesów, a tym jest gutaperka. Duma saksońska nie pozwalała mu jednak przyznać się do biedy; nadrabiał tedy miną, krytykował „starą i zgniłą" Europę, a pocieszał się myślą, że to co jest najwspanialszem w Ameryce — jak wodospad Niagary, jak Missisipi lub Ohio, jak Mammutowa pieczara w Kentucky — tego przecie nie można było posłać na wystawę i ustawić w Paxton'owskim pałacu.

Pierwszy egzamin wypadł tedy bardzo słabo. Wszakże sędziowie europejscy obeszli się pobłażliwie, obdarzyli nawet piernikiem pełnego zapału młodzieńca. Nieszczęśliwej tej gutaperce dali medal złoty. Wyrazili przytem nadzieję, że Ameryka się poprawi i w przyszłości lepiej popisywać się będzie.

I rzeczywiście nadzieja ich spełniła się, wbrew całemu pedagogicznemu doświadczeniu, które utrzymuje, że nadzieje nie spełniają się nigdy. Na wystawie paryskiej 1855 r. Ameryka nie miała już potrzeby rumienić się; tem mniej na wystawie wiedeńskiej 1862. W Paryżu w 1867 r. rościła już dla siebie pretensye do równouprawnienia; jeszcze natarczywiej domagała się tego na wystawie wiedeńskiej, a w Filadelfii sama Europa postawiła ją na równi z sobą. Dwa lata jeszcze ubiegły i Ameryka stanęła wyżej, przestrachem napełniła Europę.

Cóż zrobili takiego Yankees'i, żeby aż nam grozić? — zapyta zdumiony czytelnik, zwłaszcza, jeżeli zapomniał już o jęku, jaki zeszłego roku z powodu Ameryki wydobywał się z piersi naszych naftciarzy.

Żeby odpowiedzieć na powyższe pytanie, uprosimy czytelnika, aby raczył udać się z nami do oddziału amerykańskiego. W jednej z sal ujrzemy na ścianie olbrzymią tablicę, obejmującą kilkadziesiąt metrów kwadratowych, a na niej nabite tysiące najrozmaitszej wielkości i kształtu gwoździ, od metrowych, używanych do budowy statków do mikroskopowo maluczkich, służących doprawdy już nie wiem do czego. Usłużny Yankee ofiaruje nam katalog, zaopatrzony w dwie winiety: na jednej z nich barczysty kowal, z zakasanemi po łokcie rękawami, oblany potem, uderza młotem w rozpalony gwóźdź, który trzyma w szczypcach; u góry tej winiety figuruje napis: *rok 1776*, u dołu zaś podpis tej treści: *sześć funtów gwoździ na dzień roboczy*. Druga winieta przedstawia maszynę parową, podobną z wejrzenia do wszystkich parowych maszyn. Nadpis u góry opiewa: *rok 1876*, a podpis: *tysiąc funtów gwoździ na dzień roboczy*.

Prospekt ten, rozdawany przez ajenta *Globe Nail Company*, zdradza całą tajemnicę potęgi amerykańskiej, opowiada nam jej dzieje i stawia dla niej horoskop na przyszłość. My w Europie nie mamy pojęcia co jest maszyna, sztuka zastosowania jej jest u nas dopiero w kolebce. Ameryka jedna zgłębiła jej tajniki, ona jedna powiedziała sobie, że przeznaczeniem człowieka nie jest samemu pracować, samemu przerabiać materyą przyrody do swego użytku. Na to są w przyrodzie siły. One to, owe siły, wprzęgnąć trzeba do tej pracy, a z człowieka dosyć, jeżeli niemi kierować będzie. A wygłosiwszy tę zasadę, zobaczmyż teraz jak wprowadziła w wykonanie. Posłuchajmy przykładów.

Dwadzieścia lat temu Szwajcarya dostarczała Ameryce rok rocznie 300 do 400 zegarków. Ze 100,000 dostarczały fabryki Besangońskie i mniej więcej tyleż angielskie. W owe czasy jak długie i szerokie Stany Zjednoczone — a mówiąc „Ameryka" mamy właśnie wszędzie je na myśli — owoż w owe czasy na terytoryum Stanów Zjednoczonych nie istniała ani jedna fabryka zegarków. Atoli w Genewie, w warstatach Czapka i Patka znajdował się podówczas pewien młody Amerykanin, który z wielką przykładnością oddawał się pracy. Po paru latach skończył studya, wrócił do domu i ogłosił w dziennikach, że posiada umiejętność robienia zegarków, ale ponieważ nie ma majątku, wzywa przeto kapitalistów, aby mu dopomogli do założenia pierwszej amerykańskiej fabryki zegarków. Nazajutrz podpisał kontrakt spółki o kapitale zakładowym 200,000 dolarów. Spółka ta pod imieniem *Waltham Watch Company* posiada dzisiaj kapitał zakładowy 10 milionów dolarów, a fabrykuje rocznie 250,000 zegarków.

P. Tavre Perret, członek szwajcarskiej komisyi, miał niedawno odczyt w Genewie „o przemyśle amerykańskim i o niebezpieczeństwie, jakie grozi Szwajcaryi." Posłuchajmy zdania tego fachowego znawcy.

„Panowie, opowiem wam com widział na własne oczy i co doświadczyłem — rzekł p. Perret do swych współobywateli. Będąc w Bostonie, zachodzę do fabryki Walthama i żądam zegarka piątej kategoryi, a więc jednej z podrzędniejszych. Subjekt otwiera dużą skrzynię, ja wkładam w nią rękę, biorę na chybił trafił pierwszy zegarek, który mi się podwinął, zakładam na łańcuszek, płacę i chcę wychodzić: Ale subjekt zatrzymuje mnie i doradza, żebym dał jeszcze ten zegarek do obciągnięcia. Na to mu oświadczam, że właśnie nie pragnę go obciągać, gdyż chcę poznać z jaką dokładnością kompania fabrykuje swoje zegarki. Nastawiłem zegarek i po tygodniu znalazłem różnicę 32 sekund, co stanowi 4 sekundy na dobę. Zważcie więc panowie — piątej kategoryi zegarek, nieobciągnięty, niewybierany, ale pierwszy, który się nawinął, wszystkie zatem jak najgorsze warunki, i mimo to zaledwie 4 sekundy różnicy na dobę! Uderzmy się w piersi i powiedzmy otwarcie, czy może z czemś podobnem popisać się Szwajcarya? Jestże u nas choć jedna fabryka, którąby gwarantowała, że jej najlepszy zegarek, najmisterniej wykonany, najstaranniej obciągnięty, wybadany i wypróbowany najsumienniej, nie będzie się spieszył lub późnił o 4 sekudy na dobę? I dlaczego — zapytacie panowie, tak znakomite są amerykańskie zegarki, o tyle lepsze od naszych? Oto dla tego, że my fabrykujemy ręcznie, a nie maszynowo. Liczymy w Szwajcaryi 40,000 ludzi trudniących się fabrykacyą zegarków, a ogółem produkujemy rocznie 1,600.000 zegarków, co znaczy, że na jednego robotnika wypada rocznie 40 zegarków. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych na jednego robotnika wypada 150 zegarków rocznie czyli prawie 4 razy tyle co u nas. Ale u nas prawie wszystko robimy ręcznie, gdy tam bez wyjątku wszystko robią maszyny. Dzisiaj już Stany Zjednoczone wyrzuciły ze swych rynków nasze zegarki i zamknęły przed nami rynki południowej Ameryki, Australii, Chin i Japonii. Obecnie zegarki amerykańskie zaczynają nam silną robić konkurencyą na rynkach angielskich; po tegorocznej wystawie wejdą one w użycie we Francyi; za rok od dzisiaj pokażą się w Szwajcaryi, a za dwa lata 40,000 zegarmistrzów naszych wraz z rodzinami

pójdzie w świat po żebrze. Nic tu nie pomogą nasze zabiegi, renoma, jaka otacza nasze zegarki, upadnie pod ciosami rzeczywistości. Świat się naocznie przekona, że amerykańskie są lepsze, a mimo to o cztery razy tańsze. Jeżeli więc nie chcemy, aby jeden z najważniejszych przemysłów naszych runął nieodwołalnie, zbrójmy się co prędzej w amerykańskie maszyny, bo już ostatni czas potemu. Maluczko — a już może będzie za późno!“

Owoż bardzo jest prawdopodobnem, że już teraz „za późno,“ że w dzień kiedy Perret ostrzegał swych rodaków przed niebezpieczeństwem, uderzyła godzina śmierci dla ich zegarowego przemysłu. Nie tak to bowiem łatwo zmienić od razu cały system fabrykacyi, zaniechać stare metody, uświęcone tradycyą, wydobyć kapitały na zakupno maszyn, przerobić ludzi, wyćwiczyć ich w obsłudze tych maszyn etc. etc. Zresztą przypuśćmy nawet, że udałoby się wprowadzenie tej reformy w Szwajcaryi; czyż przez to klasa zegarmistrzów szwajcarskich zażegnałaby grożące jej bytowi niebezpieczeństwo? Bynajmniej. Szwajcarya wyrabia półtora miliona zegarków rocznie, a liczba ta normuje się według popytu jaki istnieje na jej zegarki. Gdyby wyrabiała ich więcej, nadwyżka powstałaby na składach z roku na rok i obciążałaby tylko obrotowy kapitał. Wyrabia zatem tyle tylko, ile sprzedać może. Do tej ilości używa — przy pracy ręcznej — 40,000 robotników, przyczem każdy robotnik fabrykuje rocznie 40 zegarków. Ponieważ zaś przy pomocy maszyn robotnik wyrabia niemal 4 razy tyle, bo 150 zegarków, przeto do fabrykacyi półtora miliona zegarków, potrzeba będzie nie 40,000 robotników ale $^1/_4$ ich część czyli 10,000. Cóż tedy reszta pocznie — owe 30,000? Znajdzie wprawdzie może sobie inne zatrudnienie, ale nas przecie w danej chwili nie los tych robotników obchodzi, ale tylko ten fakt, iż Ameryka, jak się o tem nareszcie przekonała Europa na tegorocznej wystawie, zagraża jej przemysłowi.

Podnieśliśmy jedną gałęź przemysłu — zegarki, i przekonaliśmy się, jaki cios grozi Szwajcaryi. Moglibyśmy podnieść jeszcze drugą gałęź przemysłu — naftę i pokazać jak Ameryka groziła naszej biednej Galicyi. Ale ponieważ ciosowi temu już zapobieżono w ten nieskończenie naiwny sposób, iż kazano nam za naszą patryotyczno-krajową naftę, płacić drożej, na szkodę Ameryki, a ku pożytkowi osoby trzeciej—fiskusa austryackiego; ponieważ nadto sprawa nafty rozstrzygniętą została jeszcze przed wystawą paryską, przeto ją pomijamy, zarówno jak i wszystkie gałęzie przemysłu właściwego rolniczego, albowiem jest już niemal abecadłem ekonomicznem, znanem całemu światu, że ceny zboża w Europie regulują się według żniw w Ameryce.

Przejdźmy raczej do nieco nowszych rzeczy, do tych mianowicie, w których występ Ameryki na tegorocznej wystawie małą rewolucyą wywołał tak np. — żeby wielkich skoków nie robić— zacznijmy od mięsa.

Czytelnicy przypominają sobie niewątpliwie doniesienia dzienników w zaprzeszłym roku o utworzeniu się w Paryżu kompanii akcyjnej, mającej na celu sprowadzać mięso z pampasów południowej Ameryki. Kompania ta zbudowała osobny w tym celu statek, w którym sztucznie urządzone środki oziębiające miały to mięso konserwować w ciągu podróży i który z tego względu nazwano *Frigorifique*. Statek ten figurował na wystawie. Spoczywał na kotwicy u brzegu Sekwany, bo coś się popsuło w maszynie — nie statku ale kompanii. Mówiono nawet o likwidacyi.

Ale jeżeli nawet runie ta transatlantycka kompania, myśl jej nie zaginie jednak. Podniosą ją Yakeesy i naturalnie poprowadzą z lepszym skutkiem, aniżeli Francuzi, zwłaszcza że oprzeć się już mogą na pewnem doświadczeniu. Dotąd już bowiem eksport amerykańskiego mięsa, a raczej mięsnych wyrobów, przybrał poważne cyfry. I tak np. w 1876 r. przywieziono do Europy ze Stanów Zjednoczonych na 23 miliony dolarów smalcu, a na 25 milionów szynek i kiełbas wieprzowych. Cyfry te nie wyczerpują jednak wcale zasobów, jakie Ameryka posiada. W chwili, gdy utorowane zostaną drogi handlowe dla eksportu mięsa amerykańskiego, gdy amerykańscy rzeźnicy pozawiązują odpowiednie w Europie stosunki, gdy przeto będą liczyli na stałych odbiorców i odpowiednio do potrzeb Europy zastosują u siebie produkcyę, natenczas zarzucą nasze rynki swojem mięsem. Dzisiaj naprzykład Stany Zjednoczone posiadają około 41 milionów wieprzy (d. 1 stycznia 1878 r. posiadały 36,289.500 sztuk), a zdaniem rzeczoznawców mogłyby potroić tę liczbę w przeciągu paru lat, gdyby miały zapewniony odbyt. Tak samo ma się rzecz z wołami. Obliczają Amerykanie, że po opłaceniu kosztów podróży i kosztów produkcyi, dostarczać będą mogli mięso wołowe do Paryża po cenie 1 fr. do 1 fr. 25 c. kilogram, podczas gdy dzisiaj kilogram zrazówki kosztuje w Paryżu 2 fr. 50 c. Cena wołów spadnie tedy we Francyi do połowy. Odbije się to i na naszych podolskich wołach.

Rychlej jeszcze może niż w przemyśle mięsnym, wywoła Ameryka przewrót w naszej fabrykacji maszyn, narzędzi rolniczych, wszelakich przyrządów mechanicznych, nawet w naszych wyrobach bawełnianych i wełnianych. Kiedy w 1786 roku pewien statek amerykański przywiózł do Liverpoolu ośm pak bawełny, angielski urząd cłowy skonfiskował je, wychodząc z tej zasady, że niepodobna aby w Ameryce wyprodukowano tyle bawełny; musi to być przeto kontrabanda, pochodząca z kolonij francuskich. W dziewięćdziesiąt lat potem, w roku 1876, Ameryka wysłała do Anglii dwa miljony pak bawełny, a sprodukowała jej przeszło dwa razy tyle (4,200,000 pak bawełny na cenę 320 milionów dolarów).

Na powyższe cyfry kładziemy nacisk i ośmielamy się zwrócić na nie uwagę czytelnika. Stany zjednoczone produkują 4 miliony pak bawełny; połowę przerabiają same dla swego użytku, nadto dla Chin i Japonii; połowę zaś oddają Anglii, — ta je przerabia i przetworami swemi obdarza już Europę, Azją, Egipt etc. Rozumie się, że Anglia na tem niepospolicie korzysta, bo raz zużywa tym sposobem swój węgiel, powtóre zatrudnia tysiące robotników. Owoż teraz usiłowaniem jest Ameryki zachować dla siebie te zyski, które Anglja pochłaniała. Atoli na drodze do tego usiłowania napotyka na ważną przeszkodę w swych własnych instytucyach ekonomicznych, mianowicie w tem, że Amerykę przygniata system ceł protekcyjnych. Nie wezmą nam za złe czytelnicy, że rozwiniemy przed ich oczami obrazek, skreślony przez pana Marshalla, posła na sejm Rzeszy Amerykańskiej, a malujący dosadnie i żywemi barwami cały ciężar tego protekcyjnego systematu.

„Rolnik nasz, powiada p. Marshall, wstawszy rano, siada na konia i udaje się w pole, — do pracy. Podkowy tego konia przybite są za pomocą młota, otaksowanego cłem, wynoszącem 54% wartości, a gwoździami otaksowanemi 67%. W drodze, ponieważ potrzebuje rózgi do popędzania konia, wycina ją przeto sobie w lesie nożem, który opłacił cło 50% wartości. Konia zaprzęga do pługa otaksowanego 56%, łańcuchami, otaksowanemi 67%. Wraca wieczorem do domu i znużony kładzie się do łóżka, którego prześcieradła otaksowane są 58% a kołdry 280%. Wstaje nazajutrz i wdziewa na się flanelową koszulę otaksowaną 80%, surdut otaksowany 50%, trzewiki otaksowane 35% i kapelusz otaksowany 70%. Jest to dzień świąteczny. Rozkłada tedy przed sobą swą biblją otaksowaną 25% i klęka do modlitwy na grubym dywaniku otaksowanym 150%. Oddawszy cześć Bogu, siada do śniadania, które je na talerzu otaksowanym 40%, widelcem i nożem otaksowanym 35%; wypija filiżankę kawy otaksowanej 47% lub filiżankę herbaty, otaksowanej 78%. Do śniadania używa soli otaksowanej 100%, pieprzu otaksowanego 297% i korzeni otaksowanych 379%. Rozmawia z żoną i z dziećmi, otaksowanemi w podobnyż sposób, zapala fajeczkę otaksowaną 100% lub cygaro, otaksowane 120%, i dziękuje w duszy Bogu, że mu dozwolił żyć pod najtańszym i najlepszym z rządów.“

W kraju, gdzie wszystko, z wyjątkiem wody i powietrza, opłaca tak szalone cło, fabrykują się przecież zegarki, tańsze od szwajcarskich, nafta tańsza od galicyjskiej, mięso tańsze od podolskiego, pszenica tańsza od ukraińskiej etc. I to wszystko dzięki maszynom i olbrzymim kapitałom. Bo Amerykanie, jak powiedzieliśmy, postawili sobie za zasadę obchodzić się we wszystkiem bez ludzkiej pracy, używać człowieka do fabrykacyi o tyle tylko, o ile potrzebne jest umiejętne kierownictwo, o ile do maszyny dodać potrzeba inteligencyi. Zresztą człowieka wykluczyć zewsząd. Niech własne siły przyrody przerabiają jej materyą. A wyłącznie tą myślą zajęty umysł amerykański, potworzył już rzeczywiste cuda. Na wystawie widzieliśmy tysiące amerykańskich maszyn do robienia rzeczy takich, w których nam się nawet ani śniło zastąpić pracę ludzką. Poczynając od przeróżnych lokomobilów najrozmaitszej konstrukcyi, od rozmaitych maszyn tkackich, od rozmaitych maszyn rolniczych, wszystko parowych, przejść można było całą skalę, aż do przeróżnych maszyn ręcznych, to wyrabiających szczotki, to wytłaczających pióra stalowe, to szyjących trzewiki (z amerykańską *Crimping machine* jeden robotnik kołkuje dziennie 500 par trzewików), to fabrykujących świdry i korkociągi, to prasujących bieliznę, to ją maglujących, to wreszcie robiących piankę z jaj, przyczem otrzymuje oszczędna gospodyni „cztery razy tyle pianki niż za pomocą wszelkiej innej metody bicia jaj.“ „Nie śmiejmy się — pisze p. Molinari w Debatach — z tych amerykańskich maszyn domowego gospodarstwa, kto wie czy Amerykanie nie uwolnią nas kiedy od jednej z najstraszniejszych plag, — od służby? Arystoteles przepowiadał Grekom, że gdy łódź popłynie bez wioslarzy, znieść będzie można niewolnictwo. Dla czegoż więc w dzień, w którym szczotki będą same wymiatały, pióroniki same pył ścierały, a półmiski po stole biegały, nie będziemy mogli obejść się bez służby?“ Owoż potem co Ameryka pokazała na wystawie paryzkiej, powstać musi w każdym umyśle zwątpienie, aby taka mechaniczna usługa należeć miała zawsze do rzędu niedoścignionych ideałów ludzkości.

Powtarzamy tedy — streszczając się na zakończenie — że wszystko to stworzyła Ameryka pod tak strasznym ciężarem ceł protekcyjnych.

Cóż ona przeto zrobi, gdy ciężar ten zrzuci z siebie, gdy w równych warunkach zmierzy się z Europą? A zrzuci go już prędko. Agitacja za swobodą przemysłu przybrała już tak poważne rozmiary, że lada dzień spodziewać się można obalenia tego chińskiego muru, zwłaszcza, że wystawa paryska uderzyła w niego najpotężniejszym może taranem. Zarówno jak Europie pokazała niebezpiecznego wroga w Ameryce, tak Ameryce otworzyła oczy co do przemysłu europejskiego. Yankeesy po raz pierwszy poczuli się na siłach, po raz pierwszy postanowili na serjo stanąć na europejskich targach. Następstwem tego będzie olbrzymi, może nawet krwawy przewrót w zaskorupiałym w tradycyjnych powijakach przemyśle Europy.

KLĄTWA MIŁOŚCI.

(Z francuskiego, L. Ratisbonne.)

Tam pod dębem szerokim, skryty w leśną gęstwinę
Jasio idąc na wojnę, żegnał swoją dziewczynę:

„Bądź mi zdrowa, o luba! za lat siedem powrócę",
— „Idź najmilszy, jedyny! czas nadzieją ukrócę".

Śród łez wielu, lat siedem gdy nareszcie domierza,
Ona w lesie już czeka na ów powrót żołnierza.

Nadszedł ścieżką ktoś zbrojny: „O spóźnionej tak porze,
„Piękne dziewczę, co robisz sama w gęstym tu borze?"

„Czy źli twoi rodzice? alboli też dziewczyno,
„Słodkie szały miłości kryjesz lasu gęstwiną?"

„Oj, nie źli to rodzice, inne smutku przyczyny...
„Właśnie wczoraj lat siedem jak pojechał jedyny!"

„Otóż wczoraj, ten człowiek, o przewrotnem snać sercu,
„Sam widziałem, jak z inną stał na ślubnym kobiercu.

„Klnij mu wszystkie zgryzoty, wszystkie nędze straszliwe,
„Gdy śmiał zdradzić, niewdzięcznik, twe uczucie tak żywe!"

„Niech Bóg ciągle nań zlewa tyle zdroi swej łaski,
„Ile w morskich głębinach toczą ziarnek swych piaski;

„Tyle szczęścia, pokoju, da przez całe mu życie,
„Ile gwiazdek srebrzystych mruga w niebios błękicie:

„I niech ma dłoń szczęśliwa, którą nazwał swą żoną,
„Zawsze tyle miłości co me wierne mu łono".

Na to rycerz odpowie: „Zrzucam maskę ułudy!
„Chciałem tylko doświadczyć, czym ci drogim jak wprzódy?"

Jej radości łzy płyną, twarz fartuszkiem zasłania:
Wrócił Jasio z wojenki nie zmieniwszy kochania.

Iza.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła
WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ PIĄTA.

(Ciąg dalszy).

I.

Helena późno wróciła do domu.

Z trudnością wchodziła po schodach, trzymając się poręczy; z parasola jej woda ściekała na stopnie. Przed drzwiami swemi zatrzymała się na chwilę, chcąc odetchnąć; czuła się odurzona szumem ulewy, potrącaniem ludzi, którzy uciekali przed deszczem, światłem latarni co migotały w kałużach stojących na ulicy. Poruszała się jak we śnie, zadziwiona jeszcze temi pocałunkami, które odebrała i którym wzajemnością odpłaciła. Szukając klucza swego, teraz zastanawiała się nad tem, że nie czuła ani wyrzutów, ani radości z tego, co się stało. Stało się, nie mogła temu zaradzić, by było inaczej. Nie miała klucza przy sobie, musiała go zapomnieć w kieszeni tamtej sukni. Przykro jej to było; zdawało się, że sama siebie z własnego domu wygnała. Musiała zadzwonić.

— Ah! to pani — rzekła Rozalia, otwierając. — Zaczynałam już być niespokojna.

I biorąc parasol, dla zaniesienia go do kuchni — dodała:

— Jaki deszcz!... Zefiryn, który przyszedł w tej chwili, mokry był jak zupa... Ośmieliłam się zatrzymać go na obiad. Ma pozwolenie do godziny dziesiątej.

Helena machinalnie szła za nią. Zdawała się czuć jakąś potrzebę obejrzenia wszystkich pokojów mieszkania swego, za nim zdejmie kapelusz.

— Dobrześ zrobiła, moja kochana — odrzekła.

Zatrzymała się chwilę na progu kuchni, patrząc na zapalony piec. Instynktowym ruchem otworzyła jednę szafę i zamknęła ją napowrót. Wszystkie meble były na swem miejscu; robiło jej to przyjemność. Zefiryn powstał z uszanowaniem przed nią. Uśmiechnęła się i z lekka kiwnęła mu głową.

— Nie wiedziałam, czy mam już włożyć pieczeń — mówiła znowu sługa.

— A któraż godzina? — spytała Helena.

— Wkrótce będzie siódma.

— Jakto! siódma godzina!

Zdziwiło ją to ogromnie. Straciła rachunek czasu. Teraz dopiero budziła się.

— A Joanna? — spytała.

— Oh! bardzo była grzeczna. Zdaje mi się nawet, że usnęła, bo nie słyszałam by się ruszała.

— Jakto, nie dałaś jej światła?

Rozalia zakłopotała się; nie chciała przyznać się, że Zefiryn przyniósł jej ryciny. Panienka nie ruszała się, a więc, niczego nie potrzebowała. Helena nie słuchała jej. Weszła do pokoju, gdzie przenikliwe zimno schwyciło ją.

— Joanno! Joanno! — zawołała.

Żaden głos nie odpowiedział. Potrąciła o fotel. Drzwi od sali jadalnej, która była zostawiła przymknięte, teraz oświecały kawałek dywana. Helenę przeszedł dreszcz; zdawało się, że deszcz pada na pokój, takie w nim było wilgotno-zimne powietrze i tak wyraźny szmer ulewy. Odwróciwszy się, spostrzegła ramę otwartego okna, blado rysującego się na szarem tle nieba.

— Któż to otworzył to okno! — zawołała. — Joanno! Joanno!

Wciąż żadnej odpowiedzi. Śmiertelny niepokój ściskał jej serce. Chciała spojrzeć przez to okno, ale macając koło niego, natrafiła na włosy; Joanna była tam. W tej chwili Rozalia weszła ze światłem, i dziecię ukazało się bladziutkie, śpiące z twarzą opartą na skrzyżowanych rękach, krople spadające z dachu bryzgały na nią. Zrozpaczona, zmęczona, leżała tak bez oddechu prawie. Wielkie niebieskawe powieki miała zamknięte; na rzęsach wisiały dwie grube łzy.

—Nieszczęśliwe dziecko!— wyjąkała Helena — czy można coś podobnego!... Mój Boże, zimna zupełnie!... Usnąć tak, na taką pogodę, kiedy zakazano jej dotykać się do okna!... Joanno, Joanno, odpowiedz mi, obudź się!

Rozalia umknęła przez ostrożność. Mała, którą matka wzięła była na ręce, opuściła głowę, jak gdyby nie mogąc otrząsnąć się z ołowianego snu, który ją opanował. Nakoniec otworzyła powieki i osowiała, odurzona, mrużyła oczy, które światło lampy raziło.

— Joanno, to ja... Co ci? Spojrz, wróciłam.

Ale dziewczynka nie rozumiała; z osłupiałą miną szeptała tylko.

— Ah!... Ah!...

Przypatrywała się matce, jak gdyby jej nie poznawała. Nagle zatrzęsła się, zdawała się uczuwać wielkie zimno pokoju. Myśli jej wracały, łzy spłynęły z rzęs na policzki.

— To ty, to ty... Oh! zostaw mię, nadto mnie ciśniesz. Tak mi dobrze było.

I wyśliznęła się jej z rąk; bała się matki. Niespokojnym wzrokiem wodziła po niej od rąk do ramion; jedna ręka Heleny była obnażona, usunęła się przed nią z zalęknioną miną, tak jakby uciekała przed pieszczotą obcej dłoni; jątrzyło ją dotknięcie tej ręki, która zdawała się jej być inną niż zwykle.

— Nie łaję cię — mówiła dalej Helena. — Ale powiedz, czy to rozsądnie? Pocałuj mię.

Joanna wciąż usuwała się. Nie przypominała sobie ani takiej sukni, ani takiego płaszcza u matki swojej. Pasek był luźny, fałdy układały się w tak niemiły sposób. Dla czegoż wracała tak źle ubrana? W całym stroju było coś tak brzydkiego i tak smutnego zarazem. Suknia obłocona, trzewiki popękane; nic się na niej nie trzymało, jak sama mówiła, kiedy się gniewała na małe dziewczynki, które nie umieją się ubierać.

— Pocałuj mnie, Joanno.

Ale ta nie poznawała również głosu matki; zdawało się jej, że był mocniejszy jakiś. Przyglądała się twarzy, dziwiła zmniejszonym i jak gdyby zmęczonym oczom, gorączkowej czerwoności ustom i temu dziwnemu cieniowi, co mroczył twarz całą. Nie lubiła tego; znowu zaczynało ją boleć w piersiach, jak wtedy, kiedy jej sprawiano przykrość. Subtelne te a odurzające ją rzeczy, które odczuwała, nerwowały ją, domyśliwała się w nich zdrady. Wybuchła nareszcie płaczem.

— Nie, nie, proszę cię... Oh! zostawiłaś mię samą, oh, byłam nadto nieszczęśliwa...

— Ale teraz kiedy wróciłam już, kochanko... nie płacz, wróciłam.

— Nie, nie, skończyło się już... Nie chcę cię więcej... Oh! czekałam, czekałam, tak mię boli.

Helena objęła ją znowu i przyciągała do siebie łagodnie, ale dziecię opierało się — powtarzając:

— Nie, nie, to już co innego, ty już nie jesteś ta sama.

— Jakto? co ty mówisz, moje dziecię?

— Nie wiem, jesteś już inna.

— Chcesz powiedzieć, że nie kocham cię już?

— Nie wiem, jesteś inna... Nie zaprzeczaj temu... Skończyło się, skończyło. Chcę umrzeć.

Helena blada bardzo, trzymała ją znowu na rękach. A zatem poznać to było z jej twarzy? Ucałowała małą, ale ta drżała przytem z wyrazem tak głębokiego cierpienia, że nie ośmieliła się powtórzyć pocałunku. Patrzała jednak na

matkę. Ani jedna, ani druga nie mówiły nic. Joanna płakała po cichu, nerwowo sztywna, zbuntowana. Helena pomyślała sobie, że nie należało zważać na kaprysy dziecinne. W gruncie jednak czuła głuchy wstyd; rumieniła się pod ciężarem dziecka opartego na jej ramieniu. Postawiła wreszcie Joannę na ziemi. Obie doznały ulgi.

— Teraz bądź grzeczna, otrzyj oczy — rzekła. — Wszystko to urządzimy.

Dziecię usłuchało; miało minkę bardzo łagodną, trochę bojaźliwą! z pod oka spoglądała na matkę. Nagle kaszel ją schwycił.

— Mój Boże! otóż i chora jesteś. Nie mogę się oddalić na chwilę... Zimno ci było?

— Tak, mamo, w plecy.

— Masz! włóż ten szal. W sali jadalnej zapalono w piecu. Ogrzejesz się... Czyś głodna?

Joanna zawahała się. Już miała powiedzieć prawdę, że nie głodna wcale, ale znowu spojrzawszy na matkę z ukosa, cofnęła się i rzekła półgłosem:

— Tak, mamo.

— No, to się skończy na niczem — rzekła Helena, która potrzebowała uspokoić samę siebie. — Ale proszę cię, niedobre dziecię, nie strasz mię tak więcej.

Rozalia weszła, oznajmiając, że obiad na stole; Helena zaczęła ją wówczas żywo łajać. Służąca spuściła głowę, przyznając, że pani miała słuszność, że powinna była czuwać nad panienką. Wreszcie chcąc ułagodzić panią, pomagała jej rozbierać się. Mój Boże! w jakimże to stanie była pani suknia! Joanna śledziła okiem odzienie, które jedno po drugiem opadało, jak gdyby zapytywała je, spodziewając się, że z tej przemokłej, zabłoconej odzieży wyśliźnie się to co przed nią ukrywano. Taśma jedna nie dawała się rozwiązać; Rozalia po chwili dopiero potrafiła dokonać tego; dziecię zbliżyło się do matki i podzielając niecierpliwość sługi, gniewało się na ten węzeł a zarazem ciekawie przypatrywało, jak też był zrobiony. Ale nie mogła wytrzymać tak blizko matki i cofnęła się za fotel, uciekając przed zdejmowaną odzieżą, która drażniła ją. Odwracała głowę. Nigdy dawniej nie doznawała tej przykrości, jaką teraz sprawiała jej matka, zmieniając suknię.

— Musi być pani teraz przyjemnie — mówiła Rozalia. — To tak miło, sucha bielizna, kiedy kto przemókł.

Helena, włożywszy kaftan z niebieskiej bai, lekko westchnęła, jak gdyby w istocie czuła tę przyjemność. Teraz dopiero, kiedy zrzuciła z ramion ten ciężar ubrania, który dźwigała z sobą, zrobiło się jej lżej, czuła że jest u siebie. Napróżno służąca powtarzała, że zupa już na stole; ona jeszcze chciała świeżą wodą umyć sobie twarz i ręce. Kiedy się już dobrze wodą zlała i wilgotna jeszcze, zapięła kaftanik po szyję, wówczas Joanna zbliżyła się do niej, ujęła jej rękę i pocałowała.

U stołu jednak matka i córka nie rozmawiały z sobą wcale. W piecu paliło się, mała salka jadalna wesoło wyglądała ze swym mahoniem błyszczącym i jasną porcelaną. Ale Helena znowu wpadła w to osłupienie, ktore przeszkadzało jej myśleć; jadła machinalnie i jak gdyby z gustem, Joanna, siedząc naprzeciw, ukradkiem przypatrywała się jej, nie tracąc ani jednego ruchu. Wtem zakaszlała. Matka która zapomniała była o niej, nagle zaniepokoiła się.

— Jakto! kaszlesz jeszcze!... Nie ogrzałaś się.

— Oh! owszem mamo, ciepło mi.

Chciała dotknąć jej ręki, by przekonać się, czy nie kłamie. Wówczas także spostrzegła, że pełny talerz stał przed nią.

— Mówiłaś, żeś głodna... Nie lubisz tego?

— Ale owszem, mamo.' Jem.

Joanna z wysiłkiem przełknęła kęs jeden. Helena przez chwilę patrzała na nią, potem znowu myślą wróciła do tego ocienionego pokoju, tam. Dziecię dobrze widziało, że zapominano o niem. Pod koniec obiadu biedne jej ciałko znużone, złamane, pochyliło się na krześle; zrobiła się podobna do małej staruszki, miała oczy bez wyrazu żadnego, jak te podżyłe stare panny, których nikt już nie będzie kochał.

— Panienka nie bierze konfitur? — spytała Rozalia. — Mogę zdjąć już nakrycie?

Heleny oczy patrzyły gdzieś w dal.

— Mamo, chcę spać — rzekła Joanna głosem zmienionym. — Czy pozwolisz mi położyć się?... Lepiej mi będzie w łóżku.

Helena znowu zdawała się nagle budzić ze snu.

— Słabaś, kochanko! Co cię boli? mów-że!

— Ależ nic, mówię ci!... Spać chcę, pora już przecie na to.

Wstała z krzesła i wyprostowała się, chcąc pokazać, że jest zdrowa. Małe jej nóżki potykały się o posadzkę. Chwytała się mebli, by nie upaść, i pomimo tego ognia, co ją palił wewnątrz, miała na tyle sił, że wstrzymała się od płaczu. Matka sama chciała ją położyć do łóżka, ale zaledwie zdołała związać jej włosy jak na noc, z takim pospiechem dziewczynka rozbierała się. Wśliznęła się między prześcieradła i szybko zamknęła oczy.

— Dobrze ci? — spytała Helena, nakrywając ją i otulając.

— Bardzo dobrze. Zostaw mnie, nie ruszaj... Zabierz światło.

Pragnęła tylko pozostać sama w ciemności, otworzyć oczy i pozostać z bolem swym tak, żeby ją nikt nie widział. Kiedy wyniesiono lampę, szeroko rozwarła oczy.

Tuż obok, w drugim pokoju, Helena chodziła. Szczególną czuła potrzebę ruchu; myśl położenia się nieznośną była dla niej. Popatrzała na zegar; za dwadzieścia minut dziewiąta. Cóż będzie robiła? Przetrząsła szufladę, sama nie wiedząc, czego szukała. Potem zbliżyła się do biblioteki, rzuciła okiem na książki i odeszła, znudzona już samem czytaniem tytułów. Od tej ciszy w pokoju brzęczało jej w uszach; ta samotność, to ciężkie powietrze sprawiały jej cierpienie. Chciałaby hałasu, ludzi, coś coby ją oderwało od niej samej. Parę razy przysłuchiwała się przy drzwiach gabineciku, gdzie Joanna nie dawała znaku życia. Wszystko spało; ona kręciła się, przestawiając rozmaite przedmioty, kiedy jej podpadły pod rękę. Nagle przyszło jej na myśl, że Zefiryn musiał być jeszcze u Rozali. Uszczęśliwiona wówczas, że nie była zupełnie sama, skierowała się do kuchni, ciągnąc za sobą pantofle.

Kiedy przechodziła przedpokój i otwierała już oszklone drzwi małego kurytarza, usłyszała brzmiący odgłos potężnego policzka a jednocześnie głos Rozalii:

— Jeszcze mię będziesz szczypał, co!... Precz z rękami!

Zefiryn odpowiedział szepleniąc:

— To nic nie szkodzi, moja piękna, tak cię kocham... Masz jeszcze...

Ale drzwi skrzypnęły. Kiedy Helena weszła, żołnierz i kucharka, spokojnie siedząc przy stole, mieli oboje nos utopiony w talerzu. Udawali obojętność; to nie oni byli. Tylko mieli twarze bardzo czerwone i oczy błyszczące jak świece; na swoich krzesłach słomianych podskakiwali jak na sprężynach. Rozalia, ujrzawszy panią, zerwała się z miejsca i podbiegła ku niej:

— Pani potrzebuje czego?

Helena nie przygotowała była pretekstu. Przychodziła dla tego, by popatrzeć na nich, porozmawiać, by być z kimś nareszcie. Teraz zdjął ją wstyd, nie ośmieliła się przyznać, że niczego nie potrzebowała.

— Masz ciepłą wodę? — spytała nakoniec.

— Nie, pani i ogień wygasł już... Ale to nic nie szkodzi, za pięć minut. Zagotuje się natychmiast.

Podłożyła węgle, postawiła kociołek. Widząc, że pani stoi na progu — odezwała się znowu:

— Za pięć minut, pani przyniosę.

— Nie ma nic pilnego — rzekła Helena niepewnym głosem, zaczekam... Nie przeszkadzam ci moja kochana; jedzcie, jedzcie... Zefiryn będzie musiał wracać wkrótce do koszar.

Rozalia zgodziła się usiąść. Zefiryn, który stał jeszcze, ukłonił się po wojskowemu i odkroił znowu kawałek mięsa swego, rozszerzając łokcie, dla pokazania, że umie zachować się przyzwoicie. Kiedy tak jedli razem, po obiedzie pani, nie wysuwali nawet stołu na środek kuchni, woleli siedzieć obok siebie, z nosem zwróconym ku ścianie. Takim sposobem mogli uderzać się, szczypać, dawać klapsy, nieprzerywając jedzenia; a podniosłszy oczy, mieli przed sobą przyjemny widok rądli. Na ścianie wisiał bukiet wawrzynu i macierzanki; puszka z korzeniami roznosiła ostry, pieprzny zapach. Kuchnia jeszcze była nie uprzątnięta, naczynia przyniesione ze stołu stały dokoła; pomimo to, miło tu było kochankom, mającym dobry apetyt, mogli sobie nagrodzić to, czego im nigdy nie dawano w koszarach. Czuć było szczególnie zapach pieczeni, podniesiony odrobiną octu. Gazowy ogień połyskiwał w zwierciedle miedzi i blach. Ponieważ od rozpalonego piecyka strasznie było gorąco, otworzyli przeto okno i świeży powiew wiatru, dolatującego z ogrodu, wzdymał firankę z niebieskiego perkalu.

— Musisz wracać o samej dziesiątej? — spytała Helena.

— Tak pani, z przeproszeniem — odpowiedział Zefiryn.

— Ale to kawał drogi ztąd!... Jedziesz omnibusem?

— Oh! pani, czasami... Jak się idzie dobrym kłusem gimnastycznym, to jeszcze lepiej niż jechać.

Helena zrobiła parę kroków naprzód i oparła się o bufet, stojąc z rękami założonemi. Mówiła o brzydkiej pogodzie dnia tego; o tem, co dają jeść w pulku, o drożyźnie jaj. Ale za każdem jej pytaniem i ich odpowiedzią, nastawało milczenie. Żenowała ich; nie obracali się już ku niej, z oczami, utkwionemi w talerz, unikali jej spojrzeń i dla przyzwoitości jedli małymi kęskami. Ona nie wychodziła, czując się spokojniejszą między nimi.

— Niech się pani nie niecierpliwi — rzekła Rozalia — woda zaczyna już syczeć... Gdyby ogień był lepszy...

Helena nie pozwoliła jej wstać. — Woda będzie zaraz. Ale nogi bardzo ją bolały. Machinalnie przeszła kuchnią, zbliżyła się do okna, gdzie stało trzecie krzesło, drewniane, bardzo

wysokie, które, gdy je przewrócono, służyło za stołek. Ale nie zaraz usiadła. Na rogu stoła postrzegła kupę rycin.

— Patrzcie! — rzekła — biorąc je dla zrobienia przyjemności Zefirynowi.

Żołnierz zaśmiał się z cicha. Oczy mu błyszczały; kiwał głową, za każdym piękniejszym kawałkiem, który pani brała w ręce:

— To — rzekł nagle — znalazłem na ulicy Temple... To, piękna kobieta! ma kwiaty w koszu swoim...

Helena usiadła. Przypatrywała się pięknej kobiecie, wymalowanej na złoconem i glansowanym pudełku od pastylek, które Zefirym starannie był obtarł. Ścierka wisząca na poręczy krzesła, przeszkadzała jej oprzeć się. Odsunęła ją i znowu zajęła się rycinami. Narzeczeni, widząc panię tak dobrą, ośmielili się zupełnie. Zapomnieli wreszcie o niej nawet. Helena upuszczała jednę po drugiej rycinę na kolana swoje i bezwiednie uśmiechając się, patrzała na nich i słuchała.

— No, cóż, mój mały — szepnęła kucharka— nie bierzesz więcej baraniny?

On nie odpowiedział ani tak, ani nie, kołysał się tylko jak gdyby go łechtano, a kiedy ona kładła mu na talerz duży kawałek, rozpierał się wówczas z zadowolenia. Czerwone epolety podskakiwały, opasana żółtym kołnierzem głowa okrągła, z odstającemi wielkiemi uszami, trzęsła się jak głowa Chińczyka z porcelany. Śmiał się, podrzucając ramionami i rozpierając surdut, którego przez szacunek dla pani nigdy nie rozpinał w kuchni.

— To lepsze jak rzepa ojca Rouvet'a—przemówił nareszcie z pełną gębą.

Było to wspomnienie rodzinnych stron. Oboje parsknęli śmiechem; Rozalia chwyciła się za stół, by nie upaść. Jednego dnia, było to jeszcze przed pierwszą ich komunią, Zefiryn ukradł trzy rzepy u ojca Rouvet'a; były one twarde jeszcze, oh! tak twarde, że o mało zębów nie połomali na nich; pomimo to wszakże Rozalia, skrywszy się za szkołę, schrupała całą część swoję. Od tego czasu, jak tylko zdarzyło się im jeść razem, Zefiryn zawsze mówił:

— To lepsze niż rzepa ojca Rouvet'a.

I za każdym razem tak mocno śmiała się, że sznurek u spodnicy jej pękał. Teraz znowu stało się to samo.

— A co! pękł? — zawołał żołnierz z miną tryumfującą.

I wysunął rękę, by przekonać się. Ale odprawiono go z klapsami.

— Siedź spokojnie, nie naprawisz go przecie... Jakie to głupie, żeby mi zawsze zrywać sznurek. Co tydzień muszę dawać nowy.

Kiedy jednak Zefiryn wciąż jeszcze chciał własnoręcznie przekonać się o wypadku, Rozalia grubymi palcami swymi schwyciła kawałek ciała jego i wykręciła go. Ta pieszczota podbudziła go jeszcze więcej, ale służąca gniewnem spojrzeniem wskazała mu na panię, która patrzała na nich. Nie bardzo zmięszany wpakował sobie do ust potężny kęs i mrugnął oczyma z chełpliwą miną wojaka, jak gdyby mówił, że kobiety nie gniewają się o to wcale chociażby były paniami. To rzecz pewna, że przyjemnie jest zawsze patrzeć na tych, co się kochają.

— Jeszcze pięć lat pozostaje ci do ukończenia służby? — spytała Helena — oparta na wysokiem krzesełku drewnianem, zapominając się w uczuciu słodkiego zadowolenia, jakiego w tej chwili doświadczała.

— Tak, pani — może nawet cztery, jeżeli nie będę potrzebny.

Rozalia zrozumiała, że pani ma na myśli jej małżeństwo. Udając więc rozgniewaną — zawołała:

— Oh! pani — może on jeszcze służyć i lat dziesięć, ja pewnie nie będę upominała się o niego... Staje się nadto śmiały. Sądzę, że go tam psują... Tak, tak, śmiej się. Ale ze mną to nie ujdzie. Kiedy staniemy przed merem, zobaczymy wówczas, jakie to będę żarty.

A kiedy on chcąc się pochwalić przed panią że jest zwodzicielem kobiet, szydził jeszcze bardziej, kucharka rozgniewała się wówczas na dobre.

— Dobrze, dobrze, radzę ci żartować!... W gruncie, wie pani, jest on zawsze głupi. To nie do uwierzenia, jak oni głupieją od munduru. On tak przybiera tony przed kolegami. Płakałby na schodach, gdybym go wyprawiła za drzwi... Dbam ja o ciebie, mój ty kochany! Jeżeli zechcę, to będziesz długo czekał na mnie!...

Patrzała na niego z bliska; ale spostrzegając, że na poczciwej twarzy jego zaczynał malować się niepokój, rozczuliła się nagle i zmieniając ton, przeskoczyła od razu do innego przedmiotu:

— Ach! nie mówiłam ci, otrzymałam list od ciotki... Guignard'owie chcieliby sprzedać swój dom. Tak, prawie za nic... Może będzie można później...

— Do kaduka!—zawołał Zefiryn rozpromieniony; — bylibyśmy u siebie... Jest gdzie postawić dwie krowy.

Tu umilkli, zajeci deserem. Żołnierz łakomie jak dziecko zlizywał powidła z chleba, a kucharka z miną macierzyńską starannie obierała jabłko. Drugą, swobodną rękę Zefiryn spuścił pod stół i głaskał ją, ale tak łagodnie i lekko, że ona udawała, iż nie czuje tego. Nie gniewała się, jeżeli postępował przyzwoicie, owszem, widocznie lubiła to, chociaż się do tego nie przyznawała. Dość, że dnia tego był to prawdziwy bal.

— Pani, woda gotuje się — rzekła Rozalia po chwilowem milczeniu.

Helena nie poruszyła się. Czuła się niby wplątaną w tą ich miłość. I za nich marzyła dalej; wyobrażała sobie, jak oni mieszkać będą w domu Guignard'ów z dwiema krowami swemi. Uśmiechała się, widząc go tak poważnym, z ręką pod stołem, gdy tymczasem Rozalia sztywnie siedziała, żeby nie pokazać tego. Znikły różnice stanów, nie umiała dokładnej zdać sprawy ani ze swego, ani z innych położenia, ani z miejsca, w którem się znajdowała, ani też z tego, co w niem robiła. Miedź błyszczała na ścianie, nieporządek w kuchni nie raził ją; czuła się tu dobrze. Doznawała głębokiego zadowolenia, potrzeby zaspokojonej. Tylko było jej tu bardzo gorąco, krople potu wystąpiły na białe czoło; po za nią, przez okno otwarte wiatr dmuchał rozkosznie w jej szyję.

— Pani, woda gotuje się — powtórzyła Rozalia! — Nie zostanie z niej nic w kociołku.

I postawiła przed nią kociołek. Helena trochę zdziwiona, powstała nareszcie.

— Ach! tak... dziękuję.

Nie miała już pretekstu, wyszła z żalem, powoli. Kociołek zawadzał jej w pokoju. Namiętność w całej swej sile zbudziła się teraz. Dotychczasowe odrętwienie, które czyniło z niej istotę głupią, zamieniło się w falę gorącego życia, które ogniem płonęło. Drżała rozkoszą, której nie zaznała wcale. Wspomnienia wracały, zmysły budziły się za późno z bezmierną żądzą, której nie zaspokojono. Wyprostowała się na środku pokoju wyciągnęła całem ciałem, z podniesionemi i zakurczonemi rękami; znerwowane członki lekko, głucho trzaskały. Och! kochała go, chciała go, odda mu się na zawsze.

W chwili, kiedy zdejmowała podwłośnik, spoglądając na swe obnażone ramiona, szmer jakiś zaniepokoił ją; zdawało się jej, że Joanna zakaszlała. Wzięła lampę. Dziecię, z powiekami zamkniętemi, zdawało się spać. Ale kiedy matka jej uspokojona odwróciła się plecami ona otworzyła oczy, czarne, wielkie oczy, któremi przeprowadziła ją wracającą do swego pokoju. Nie spała jeszcze; nie chciała, żeby jej kazano spać. Kaszel znowu zaczął ją dusić, ukryła głowę pod kołdrę i stłumiła go. Teraz mogła już odejść, matka jej nie spostrzeże tego nawet. Trzymała oczy otwarte w ciemności, wiedząc wszystko, jak gdyby wszystko zrozumiała i bez skargi jednej umierała od tego.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Replika na recenzyą pierwszego tomu Biblioteki filozoficznej.

(Ciąg dalszy.)

Ani jednego nie mamy zdania przyswojonego sobie ze znanych historyi filozofii, tylko każde wydobyte z pism jego i listów jego na własną odpowiedzialność. Otóż o rzeczonej tezie mówiliśmy w życiorysie Kartezyusza raz czy dwa razy, Kartezysz sam pisze o niej w Rozprawie o metodzie, ale tego uwydatnienia nie było dosyć sz. krytykowi. Należało się o nim szeroko rozpisać, dla tego, że ten i ów rozpisał się o tem szeroko. Dla nas jedyną dyrektywą były pisma Kartezyusza i dziwna rzecz, że on, który nad wszystkimi ważniejszymi punktami swej nauki szeroko się rozwodzi, kilkakrotnie je powtarza ten punkt traktuje wyraźnie ale krótko. Może sz. krytyk chce wiedzieć dla czego? Oto dla tego, że to nie jest jego nauka. A czyjaż? Może Bacona. W drugiej księdze swego dzieła: Of the advancement of learning (ed. Spedding III 379) mówi Bacon: ponieważ substancya duszy nie jest punktem nieba ani ziemi, tylko bezpośredniem tchnieniem Boga, nie możebną więc jest rzeczą, aby podlegała prawom ziemi i niebios, tak że znajomość duszy musi także ztąd pochodzić, zkąd substancya jej pochodzi. Gdzież jest większy rozdział pomiędzy duszą a światem, w Kartezyuszu, czy w Baconie? Takich miejsc w Baconie jest więcej, a jednak tej nauki nie jest twórcą Werulanczyk, bo to jest nauka całej scholastyki. Lecz i tutaj nawet nie jest jej początek, oto ona pochodzi od Platona, nauczyciela Arystotelesa, który uczył, że wszystkie myśli nasze są tylko przypominaniem duszy. Czy pan krytyk nie przyzna, że tutaj jest ten sam rozdział duszy od świata? Kartezyusz więc nietylko jest twórcą tej nauki, ale już ją złagodził, już zbliżył ducha i świat zmysłowy tak dalece, że Spinoza mógł, idąc jeden krok tylko dalej, utworzyć panteistyczną jedność Boga, to jest ducha i świata. Myśmy więc nie uwydatniali tej tezy Kartezyusza, najprzód dla tego. że jej Kartezyusz nie uwydatnił, potem dla tego, że to nie jego nauka, następnie dla tego że on już ją złagodził, a nakoniec, że to podrzędny punkt jego nauki. Podrzędny mianowicie wobec tego zdania, że podług niego we wszystkich zjawiskach świata panuje prawidłowość, a to już przecież jest inna nauka, niż ta nawet, którą Kant jeszcze głosił, że zjawiska

świata są utworem myśli naszej, i to właśnie zdanie, które jest zawarte nawet i w Rozprawie o metodzie i powtórzone gdzieindziej kilkakrotnie, jest owym mostem który do panteizmu Spinozy prowadzi. W obec takich oto zdań Kartezyusza sz. krytyk dziwić się nie będzie, żeśmy nie nastawali na rzekomy rozdział, który żadnego innego w systemie Kartezyusza nie ma znaczenia, tylko, że mu służy jako ważne ogniwo w jego dedukcyjnym sposobie dowodzenia, a nastawaliśmy dość silnie na tę dedukcyjność, której tak silnie hołdował Trentowski i inni polscy filozofowie.

Myśmy wzięli zanadto w obronę Kartezyusza, zarzuca nam sz. krytyk, zaznaczając zaledwie najgrubsze jego błędy, przyznaje więc, żeśmy najgrubsze błędy wytknęli, a cóżby powiedział sz. krytyk na biografa, któryby za jakie lat sto, kiedy może wszystkie teorye Comte'a zastarzałe już będą, wytykał tylko jego wady, a zalet nie przedstawił? Żeśmy nie brali byle kogo w obronę, niech to poświadczy Buckle, ze wszystkich pozytywistów najuczeńszy, który powiedział, że Kartezyusz był największym filozofem, jakiego bogata w geniusze Francya wydała, a przecież Buckle znał i Comte'a.*)

Ciekawy jest także zarzut, że nam się zdaje, jakoby wszystkie pomysły Kartezyusza były oryginalne i cytuje nam fakt, że dowód istności Boga jest pierwotnie przez św. Anzelma ułożony, dodając że Kartezyusz przerobił go niedołężnie, cytuje dalej że „psychologiczny punkt wyjścia zapożyczył“ (sic) u św. Augustyna. Te cytaty wcale nam nie imponują, równie jak cytaty nazwisk Campanelli, Bruna, Vaniniego. Żeby Kartezyusz popsuł dowód św. Anzelma, to nie prawda, dowód jego pod względem formy logicznej jest wzorowy. Niezawodnie zaś, że bardzo wiele ze zdań dotyczących fizyki i metafizyki, które głosił Kartezyusz, znaleść można w pismach tych uczonych, a więcej w pismach Cusana, Cardana, Telesiusza i Gilberta, których krytyk pominął, ale wiadomą nadto jest rzeczą, że prawie ani jednej nie ma w dzisiejszych naukach zasady, którejby w tej lub owej formie nie było w pisarzach greckich, wiadomo dalej, że Grecy od Fenicyan i z Egiptu brali swoje nauki, Fenicyanie od Assyryjczyków, Assyryjczycy od Chaldejczyków, tu zaś już trafiamy na potop świata, w którym wszystkie archiwa zatonęły. Aby więc sz. krytyk był pobłażliwy, to należało co najmniej zacytować hieroglify i pismo klinowe, aby historyczne stanowisko autora należycie scharakteryzować i uprzytomnić dziejowy pochód myśli. Toby było żądanie krytyka gruntownie zrozumiane. Tymczasem nasze zdanie jest inne: my liczymy rozwój myśli nowoczesnej od Bacona i Kartezyusza, dla tego, że chociaż ich poprzednicy trafiali na niektóre zdania prawdziwe, to jednak całość ich myślenia była słabą i niedostateczną, Kartezyusz zaś, chociażby wszystkie myśli był przejął od innych, dał nam dopiero gwarancyą ich prawdziwości przez to, że je poparł własnemi swemi odkryciami. Tego poprzednicy jego nie zrobili i dla tego mniejszej są wagi. Cóż oni zresztą wszyscy znaczą wobec człowieka, który postanowił wyrzec się wszytkich dawniejszych nauk. Czyż i z tego tedy powodu nie godziło się przedstawić go samego dla siebie? Ale niech sz. krytyk będzie spokojny, da Pan Bóg, to całość naszej biblioteki będzie galeryą filozoficzną, w której i postać takiego Giordana Bruno, Galileusza, uwydatni się należycie. Kartezyusz ma być w naszej bibliotece pierwszem ogniwem, z którem wszystkie inne postaci wiązać się mają. Scharakteryzowanie przedkartezyańskich czasów należy do rozprawy o Baconie, scharakteryzowanie następców Kartezyusza do rozprawy o Spinozie, jedno zaś i drugie w Bibliotece pomieszczone będzie.

*) Czego sz. Autor chce od Comte'a?? *Przyp. Red.*

Krytyka nam jest rzeczą bardzo pożądaną, bo jakież dzieło jest bez usterek, każdy zaś obojętny badacz łatwiej je wykryje, niż wydawca. Gdyby wszystkie uwagi były takie jak słuszna uwaga co do wzgórków czworaczych, blibyśmy je przyjęli ze zobowiązaniem, ale tak niestety nie jest.

Krytyka wymierzona na wydanie nasze Kartezyusza nie tylko jest pobieżną ale jest niesprawiedliwą, z tego przedewszystkiem powodu że sz. krytyk nie wspomina, że oprócz Rozprawy o metodzie, jest w niej list do księdza Picot, i Reguły do kierowania umysłem, na co żaden z niemieckich nawet tłómaczów nie zwrócił uwagi, a jednak ten list jest mistrzowski, a reguły do kierowania umysłem przedstawiają całą logikę Descartes'a. Podobne reguły w całej nowszej filozoficznej literaturze, pomijając Bacona, w jednym tylko jeszcze znajdują się pisarzu.

Krytyka może się dostać w ręce ludzi, którzy Biblioteki filozoficznej ani widzieć nie będą, nie będą więc mogli przekonać się, czy zarzuty krytyka zgadzają się z prawdą, i tylko smutnego mogą nabrać o niej wyobrażenia. Cóż na przykład pomyśleć o zarzucie, że przypiski informacyjne powinny być ściślejsze, gdy sz. krytyk najważniejszy błąd drukarski bierze za brak ścisłości. A może nam sz. krytyk wskaże, jakich tam jeszcze brak przypisków ściślejszych?

Możemy w tem pomódz szanow. krytykowi. Trzeba było powiedzieć, że zasada wątpienia już była prawidłem u wszystkich skeptyków starożytności, a więc Pyrrhona, Timona, Arkesilaosa, Karneadesa Aenesidema, Sesta Empiryka, najważniejszych tylko wymieniając, potem św. Augustyna, którego do Manichejczyków wątpliwości zapędziły, Mikoła Cusana, autora doktryny „de docta ignorantia,“ następnie już znakomitego Montaigne'a Charrona Sancheza, samego Bacona nawet, chociaż tylko na podstawie jednego zdania, a potem dopiero Kartezyusza. Czy takimi plastrami mieliśmy oblepiać twarz jego?

Mówiąc o metafizycznej zasadzie, trzeba było wymienić św. Augustyna, jak nadmienia sz. krytyk, ale dodać należy, że on jeszcze trzy inne źródla pewności przyjmował. A dla czegoż Campanelli tutaj nie wymienić?

Mówiąc o doktrynach fizycznych możeby przywieść Bombasta, Cardana, Telesiara, Patritiusa, Brunona a przedewszystkiem Bacona. Byłby to prawdziwy bombast, ale cóż kiedy Kartezyusz złota nie robił! Takie obsypywanie autora nazwiskami służyłoby może do popisywania się złudną uczonością ale nie do uwydatnienia postaci jego.

Wydając pierwszy tom Biblioteki najważniejszą dla nas rzeczą były pisma samego Kartezyusza, których przekład wydawał się krytykowi wierny; te pisma wydawały nam się rzeczą najważniejszą tak dalece, żeśmy na tytule ani wspomnieli, że tomik ten zawiera także życiorys Kartezyusza uważając to za rzecz podrzędną. Choćby więc tylko ten tomik mieścił dobry przekład kilku najważniejszych pism francuskiego filozofa, to już cel jego nie byłby chybiony, ale on mieści więcej jeszcze, on mieści dokładną biografią jego i chociaż może nie wyczerpujące, bo toby było zbyt nudne, ale przynajmniej bardzo wyraźne przedstawienie wszystkich prac jego, całego umysłowego jego świata. Tego sz. krytyk nie znajdzie w żadnej historyi filozofii, w żadnym życiorysie Kartezyusza. To sz. krytykowi wyraźnie powiedzieć musimy, kiedy sam na to ani spojrzał. Każdy student filozofii z tego tomiku będzie się mógł dowiedzieć o wszystkich zasadniczych naukach Kartezyusza. Praca ta jakabądź jest, to jest zawsze zupełnie samodzielna, sz. krytyk zaś, zamiast wspomnieć przynajmniej o tem, że tom pierwszy naszej Biblioteki zawiera takie rzeczy, pomija to ponurem milczeniem, powiada tylko lakonicznie, że się biografia czytaz zajęciem, a nie powiada dla czego. Dziwna rzecz, w obec tylu zarzutów! Takiej krytyki sprawiedliwą nazwać nie można.

Wszyscy autorowie mają w Biblioteczce naszej objaśnieni być studjami zupełnie samodzielnemi, objektywnemi, dokładnemi.

Koniec końców jest taki: jedna część tej napisana jest jakoby dla tego, żeby wydawnictwo nasze porównać z wydawnictwem Biblioteki pozytywnej (?), które to porównanie stanowczo odsuwamy. Zachowując bowiem wszelki dla teoryi filozofii pozytywnej szacunek, widzimy po za nią w historyi filozofii wiele innych donioślejszych zjawisk. Druga część krytyki napisana, aby dać nam wskazówkę, za którą choćby już dla tego pójść nie możemy, aby naszego wydawnictwa nie narazić na los Biblioteki pozytywnej. Zarzuty robione co do niedostateczności historycznego przedstawienia nie są trafne, jakeśmy to powyżej wykazać się starali. W wydawnictwie naszem widzimy jedno z zadań życia naszego, od długich lat myśl ta miała w nas czas dojrzeć, a co do sposobu jej wykonania, bądź jak bądź wysoki nam ideał przyświeca, do którego podług sił zbliżyć się będziemy starali. Wiadomo przecież, że każda rzecz w jeden sposób wykonana, dałaby się wykonać na sto może innych sposobów, zależy od wykonawcy, jaki sposób wybierze, byle wybrał najlepiej do zamierzonego celu prawadzący.*)

W. Dobrzycki.

(*Poezye J. S. Chamca. „Która“ i „Czem chata bogata“. Paryż 1878. 8ka, str. 191 i 220.*)

Poezya współczesna smutnych u nas doczekała się czasów. Nie tylko traktowaną jest obojętnie, ale nawet lekceważoną nieledwie. Czyja w tem wina? Publiczności, czy poetów? Wiele o tem ostatnimi czasy pisano, różne zapadały sądy, my zaś w tym sporze stanęlibyśmy po stronie publiczności. Na poparcie naszego zdania przytaczamy tylko fakt, że jakkolwiek mało, jednakże stosunkowo najwięcej kupują u nas książek poetycznej treści dawnych mistrzów naszych, Mickiewicza, Słowackiego, Syrokomli i in. Pokazuje się z tego, że potrzeba poezyi tkwi dotąd w społeczeństwie, ale poezyi prawdziwej, wielkiej prostotą, która nie męcząc głowy pozostawia coś przecie w sercach i duszach najzimniejszych.

Czem dzisiejsi prawie wszyscy poeci i poetki karmią publiczność? Oto mdłą czułostkowością, albo masą szumnych wyrazów, po za którymi nie ma nic, albo jeżeli co i jest, to tak

*) Kierując się zasadą bezstronności zamieściliśmy odpowiedź autora, pozostawiając czytelnikowi osądzenie czy my czy autor ma słuszność. *Przyp. Red.*

misternie poplątane i osłonięte, że go i szukać nie warto.

Nie przesadzamy — dziś panowie poeci piszą tak, jak gdyby zadaniem poezyi było sprawiać ból głowy i szum w uszach. Po pięciu minutach czytania, czytelnikowi po nadaremnych usiłowaniach złapania wątku, robi się ckliwo, gorący zaklnie, spokojny wzruszy ramionami i obydwa książkę nie przeczytaną odłożą na bok.

Nie chcą zrozumieć dzisiejsi panowie poeci, że treść żywotną i jasną każde dzieło mieć powinno, że wielkość i siła leży w prostocie, cisną się gwałtem pod obłoki, a tam, nie czując ziemi pod sobą wywijają rękami i nogami i dziwią się potem, że publiczność widzi w nich nie świętości a tylko skoczków pokazujących łamane sztuki. Tak jest niestety! cała dzisiejsza nasza liryka, z bardzo małymi wyjątkami, to sztuki łamane i nic więcej.

Dla tego z przyjemnością witamy każde podobne wyjątki, do których bez wątpienia należą utwory poetyczne p. J. S. Chamca, znane naszym czytelnikom z próbek zamieszczanych w „Tygodniu“. Charakterystyką poezyi p. Chamca, jest to właśnie, czego o wielu innych powiedzieć nie podobna, że autor wie czego chce, a następnie, że do oddania swych myśli nie ucieka się do niebiesko piekielnych jakichś wyrazów, ale mówi językiem ludzkim.

Dziś mamy w ręku dwa tomy nowych poezyi p. Chamca, wydanych niedawno w Paryżu p. t. *Która? i Czem chata bogata*. Obiedwie te książki są zupełnie odmiennej treści, o każdej więc z nich będziemy mówili osobno.

„Która? kartka z wspomnień paryskich“ stanowi jeden niejako poemat. Treść jego jest następująca: W obrazku I rodzi się dziewczyna gdzieś na poddaszu wśród najokropniejszej nędzy. W obrazku drugim również rodzi się dziewczyna, ale margrabianka, więc wśród najwytworniejszego przepychu. W obrazkach 3 i 4 dziewczęta podrastają, a bogata wychodzi za mąż za hrabiego, w 5 i 6 obiedwie upadają; biedna nie tyle może z nędzy co z niedoświadczenia, hrabina zaś straciwszy majątek z potrzeby zbytku—w epilogu obiedwie te kobiety spotykają się przypadkowo na wschodach teatru, suknie ich plączą się nawzajem w tłoku, za co zirytowana hrabina rzuca swej niejako współzawodniczce wyraz *Drolesse*, autor zaś ostatnim wierszem zapytuje *Która?* dając oczywiście do zrozumienia że *Drolesse* (u nas by w tym wypadku użyto wyrazu *Małpa*) jest chyba właśnie ta, która to wyrzekła, to jest hrabina.

Jak widzimy treść do poematu piękna i dramatyczna w wysokim stopniu, wszakże nie podobna nią jest zapełnić całego sporego tomu. To też autor właściwemu opowiadaniu o bohaterkach poświęcił zaledwie po kilkanaście wierszy w każdym obrazku, resztę zaś wypełnił uwagami satyryczno-filozoficznemi, odnoszącemi się, ma się rozumieć, do sytuacyi, bohaterek. Ztąd sądzimy nadał książce nazwę *Kartki z Wspomnień*.

Według nas plan taki niekorzystnie wpłynął na wartość poematu, który ujęty w mniejsze kilkuset wierszowe ramy i prowadzony w tonie bardziej opisowym, mógłby wywierać niepospolite wrażenie. Tak jak jest przedstawia tę niekorzyść, że czytelnik sympatyzując lub oburzając się na kobiety przedstawione, radby wiedzieć prędzej o ich losach, a tymczasem musi słuchać niejako moralnych ustępów, które go nużą.

Ustępy te czyli wycieczki uboczne pełne są moralnej wartości; pełne najzacniejszej postępowej tendencyi, to prawda, ale jest ich tak wiele, że męczyć muszą, ile że nie są trzymane w tonie obrazowym, ale często w dydaktyczno moralizującym.

Styl całego poematu jest jasny i jędrny, po większej części zaprawiony ironią, wiersz gładki często pełen zapału; radzilibyśmy tylko autorowi, ażeby bardziej wystrzegał się takich skróceń jak np. *byle'b mniejsza'b* i tp., których w poemacie jest za wiele. Niektórzy poeci używają tych skróceń wtedy, gdy sobie, mając jedną syllabę za wiele, rady dać nie mogą. Dla czego zaś p. Chamiec, który tak wybornie wierszem włada, dopuszcza się tego przestępstwa, nie możemy zrozumieć.

Wogóle praca ta p Chamca wiele bardzo ma wartości dodatniej, gdyż dotykając najżywotniejszych interesów ludzkości, w pięknej formie zdrowy pokarm podaje.

Ażeby czytelników zaznajomić z tonem i tendencyą poematu, podajemy parę ustępów, dosadnie charakteryzujących cały poemat.

Autor mówiąc o obowiązkach możnych względem oświaty ludowej powiada:

. . . .
Indemnizujcie! pieniędzy! pieniędzy!
Część zarobionych, przez zbyt długie lata,
Na niedołęstwie skrzywdzonego brata!
Część ich, by z wstrętnej wybawić niewoli,
Dziateczki jego! Smętnej onych doli,
Wyście czynnikiem. Och! idźmy do źródła!
Jeśli dłoń nędzy, koścista, wychudła,
W wpojonych w ciało trzyma ich dziś szponach,
Kto temu winien? w pałacach, na tronach,
Wy o! stryjowie! Wy wielcy! Wspaniali!
Boście ich dziadom, wolny byt zabrali,
A z nim oświatę, i możność i żądzę!
Wam więc dziś płacić!

W drugim ustępie Autor tak mówi o Don Żuanach ulicznych:

. . . .
. . . .
Willią Świąt każdych, pod wieczór, w sobotę,
Na tej młodzieży raczcie spojrzyć rotę,
Kiedy wzdłuż ulic, przechadzek, bulwarów,
Błękitny dymek puszczając z cygarów,
W czarownym wdzięku swych kraciastych strojów,
Na plac serdecznych puszcza się podbojów.
Jakie uśmiechy! Miłosierny Chryste!
Jakie spojrzenia ostropłomieniste!
Do niewiniątek co słuchu użyczą,
Jak melodyjnie, jak dźwięcznie słowiczo
Brzmiące dusery! Jakie przytem tony!
Nader li skromni, szyją się w barony,
Dla ambitniejszych, i tego za mało,
Hrabiami siebie tytułują śmiało.
Ledwie za drzwiami ze sklepu lub z biura
Zaraz codzienna precz się zwleka skóra,
Natychmiast nowa wdziewa się dla świata,
Znikł kędyś kupczyk, jest arystokrata!
I rozpowiada szeroko i długo.
O dobrach ojców nad Garonny strugą,
O rodzicielskich w Hiszpanii zamczyskach,
O świetnych swoich *in spe* stanowiskach;
I rozpowiada o uczuć hazardzie,
O swojskiej zacnej, blichtrów tych pogardzie,
O tem, jak często, amor figlarz, mami,
Do jednych sideł, królów, z pasterkami,
O tem jak słodko będzie im na świecie,
(Mowa do lubej, łatwo zrozumiecie),
Gdy uwzględniwszy szczere ich płomienie,
Ojciec na śluby przyszłe pozwolenie.
Lecz, (w tem sęk główny,) na to czekać trzeba,
A tu wre serce, a tu widzą nieba,
Iż dłuższy żywot, bez niej, bez anioła,
Przedwcześnie, z świata, zgładzić ich podoła.
„Słuchaj jedyna! Nie broń! i tak dalej,“
Don Żuanowie ci, maluczkiej skali,
Tym oto trybem, nierząd, wstyd, swawolę,
W młodych wyrobnic zaszczepiają kole.

Druga książka, zatytułowana „Czem chata bogata“ zawiera 72 mniejsze poezye, z których 36 oryginalnie napisanych a 36 tłómaczonych.

Wiele z nich tak jednych jak drugich były drukowane w łamach „Tygodnia“, powiemy więc o nich tyle tylko, że jak wszystkie prace p. Chamca, mają tę wysoką zaletę, że są zrozumiałe, jasne, nieraz dowcipne lub pełne zapału, że są pisane wyrazami używanymi w mowie potocznej, a nie zapożyczonymi z jakiegoś nadludzkiego języka, co się często u nas trafia nawet najlepszym dzisiejszym poetom.

W tłomaczeniach swoich zaznajomił nas p. Chamiec z kilkunastoma najcelniejszymi poetami francuskimi jak L. Ratisbonne, Sully Proudhomme, Déroulède, Teofil Gautier, L. Ackermann, Lecomte de Lisle i t. p., czem wielce się przysłużył naszej literaturze, gdyż tłomaczenia wszystkie są bardzo dobre, niektóre nawet prześliczne, jeżeli wymienimy tylko niedawno drukowaną w „Tygodniu“ Serenadę z Viktor'a Hugo. Cały ten tom poezyi ulotnych p. Chamca po przeczytaniu jak najkorzystniejsze zostawia wrażenie, tak, że go po razy kilka z wielką przyjemnością odczytać można.

W ogóle obiedwie prace p. Chamca, o których mówiliśmy, są nader miłem zjawiskiem na tak jałowej dziś naszej poetycznej niwie. Wydanie książki piękne, a cena po 2 fl. 50 cent. za tom, w stosunku do jego elegancyi, wcale nie wysoka.

M. B.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 8. listopada.

Cudem Bożym, wśród tylu innych zmartwień, miasto nasze doznało tej pociechy, że nie zostało zasypane śniegiem podobnie jak ta nowoczesna Sodoma i Gomora z nad modrego Dunaju. Dawniej pan Bóg sypał zwykle siarczystym ogniem na ukaranie zbuntowanych miast pogańskich, ale od czasu gdy już takie mizeroty jak mir afganistański używają dział Kruppa i dynamitów — zasypywanie śniegiem stało się skuteczniejszem, no i jakoś w lepszym tonie. Że w Wiedniu panuje od niejakiego czasu zawierucha, i że może on być nią ze szczętem zasypany, to nie wielka szkoda, i owszem bierz go licho za te wszystkie krachy, szwindle, Ofenheimy i inne bezbożne nieprawości. Ale czego nam rzeczywiście szkoda, to tych poczciwych polskich Lotów, tej galicyjskiej delegacyi do Rady Państwa, która w tym ogólnym kataklizmie naprawdę zaginąć tam może. Od trzech dni nie mamy żadnej ztamtąd wiadomości ani o nich, ani o trzech marnotrawnych synach, którzy odłączywszy się od piersi macierzyńskiej, bardzo łatwo dadzą się zaprzepaścić. Już o to wielkie koło nasze, nie tyle możemy się kłopotać, raz, że w łonie swojem ma dosyć sprawiedliwych, którym niepodobna aby krakowski Pan Bóg nie zesłał jakich aniołów. Dalej, że szanowne grono to związane solidarnością na podstawie konstytucyi 3go Maja, może przespać spokojnie całą tę katastrofę śnieżną, bo jak wiadomo, zimno każde o sen przyprawia, a koło co się tyczy łatwego zasypiania już dawno nabyło potrzebnej wprawy. Wreszcie, gdyby przyszło nawet do forsownego odgrzeby-

wania się, to i taka ewentualność nie będzie dla naszych posłów straszną, jako dostatecznie już zahartowanych na wszelkie zmiany różnych temperatur politycznych i nie politycznych. Nie mogąc się prześliznąć sankami po tych niezgłębionych zaspach śniegowych, jakie w tej chwili fizycznie i moralnie cały Wiedeń zalegają, nie trzeba rozpaczać, żeby się nie mogli przekopać do jakich przedsionków na Ballplatzu, a tam już znajdą niezawodne schronienie przed burzą. Inna rzecz co się stanie z panami Skrzyńskim, Wolskim i Hausnerem? Nieszczczęśliwe rozbitki te pozbawione krakowskiej bussoli gotowi na prawdę gdzieś się zawieruszyć, i wejść na błędne drogi, a w takim razie któż ich będzie miał na sumieniu jeżeli nie jego excelencya p. Grocholski? Wszak prośbie o zbudowanie jakiegobądź mościny, choćby z desek galicyjskich — odmówiono, rozkazawszy bez miłosierdzia iść w bród przez rzekę zapomnienia. Otóż z tego wszystkiego przekona się szanowny prezes Koła, jak to niedobrze było oponować przeciw ustawie o drogach w tegorocznym sejmie, z której jednak mógłby się był nauczyć stawiania mostów dróg z prestacyi powszechnej.

Skoro więc telegraficznie odcięci jesteśmy od Wiednia, nie wypada jak tylko starą drogą wracać na Kraków do Lwowa... A z tym Krakowem, to nieustanną mamy biedę i ciągłe zmartwienia! Po owym toaście w Żokiej klubie, po owych uściskach z sobą obydwóch połów Galicyi, zdawało się że mamy już zupełną zgodę. Wskutek tego, nastroiwszy organa prasy naszej na ton serdecznej harmonii, zaczęliśmy sobie klepać codzienne życie lwowskie, odgrzewając koncerta przyjacielskie i odczyty, gdy naraz dolatują nas z Krakowa wieści że tamtejsza Rada miejska urządza uroczystą koronacyą dla pana Matejki.— Korony nie mieli, więc kazaliśmy zrobić hebanowe berło ze srebrnem okuciem, poświęcili go na zamku, wynaleźli ratuszzwego prymasa i z wszelką ceremonią doręczyli szanownemu mistrzowi. Nowy król jednak, skonstatowawszy bezkrólewie, niby Jan św. torujący drogie Pańskie, niby król-Duch Słowackiego, berło złożył do gabinetu szkoły sztuk pięknych, władzę swoją ograniczył do przepowiedni zjawienia się prawdziwego króla Słowiańskiego. Proroctwo takie, jak również bezprzykładna w dziejach uzurpacya Rady miejskiej, narobiły tyle rumoru po całym świecie, że nie wiadomo co dziś już na porządku dziennym: czy kwestya wschodnia, czy kwestya króla Słowiańskiego? Najprzód ciężko zmartwiona jest akademia nauk, której powiedzmy prawdę, zdawało się jakiś czas że ma prawo wyrokowania o królowaniu w dziedzinie nauk i sztuki,—dalej oburzone jest Tow. Strzeleckie, któremu jeszcze od króla Zygmunta Augusta, służy moc nadawania królew. insygnii. – Minister Cairoli z Rzymu gotuje piorunujący protest przeciw mieszczaństwu krak. wdzierającemu się w atrybucye Kapitolu, a na wszystkie dwory tak biorące udział w rozbiorze Polski, jakoteż mające pewne pretensye do tronu słowiańskiego, przepowiednia ta spadła niby grom przerażenia z jasnego błękitu. Gdy się dowiedział o tem car Aleksander w Liwadyi, natychmiast powzywał doradzców swoich z różnych stron Europy, ot takiego Szuwałowa, Gorczakowa, Todlebena, Kaufmana i innych, i o ile wiem, trzy dni już radzą kombinując, gdzie może się ukrywać ten przyszły król słowiański. Nawet zapomniany Ignatiew, który także ma pretensyą na króla słowiańskiego, już nie patrzy na orderowe gwiazdy swoje zawieszone na piersiach z łaski cara, ale obraca pytający wzrok ku Krakowowi, czy tam choćby w żłobku jakim nie ujrzy gdzie nowego konkurenta do tronu słowiańskiego. A z Ignatiewem nie ma co żartować! — On gotów podobnie jak w Bułgaryi, podobnie jak król Herod w Palestynie urządzić rzeź niewiniątek... Tymczasem stary Kraków zjadłszy porządny obiadek,' okopcony sadzą pochodni własnego fakelzugu, tylko zaciera ręce uszczęśliwiony, że mu się bąk udał, ale to bąk, co się nazywa prawdziwie krakowski. Niech więc Europa łamie sobie głowę nad tem słowiańskiem królestwem, niech Ignatiew grozi rzezią niewiniątek — on i na tą ewentualność jest przygotowany, bo właśnie w tych dniach otworzył nową rzezalnię miejską ze wszystkiemi nowoczesnemi szykanami porządnego zabijania. Więc powiada, spróbójcie wy tam ze Lwowa śmiać się ze mnie... ja was tu zaraz do basenu z zimną wodą i obuchem panie dobrodzieju!

Z tego powodu nastąpiło w całym Lwowie ogólne spuszczenie nosów na kwintę. Stólicowa Rada miejska i wszyscy, którym honor miasta leży na sercu, chodzą jak struci i myślą i rozważają coby tu takiego zrobić, żeby temu Krakowowi zadać jeszcze lepszego szyku. Zdawało nam się, że budując gmach sejmowy od razu w trzech ulicach i że zakładając ogród przed ratuszem z mozaikowemi ścieżkami — raz na zawsze zamkniemy usta naszemu rywalowi — aż tu jak słyszę sukiennice krakowskie bardzo imponująco mają wyglądać, kto wie czy nie lepiej od gmachu Sejmowego, a ta koronacya artystyczna i ta europejska rzezalnia kompletnie zbiła nas z rezonu. — Po mieście chodzą różne projekta, jest nawet myśl zrobienia jakiego już nie króla ale cesarza, tylko to nieszczęście, że brakuje nam głowy do tego, a jeszcze bardziej głów do inicyatywy. Kiedy w Krakowie całe miasto, są sami Zyblikiewicze, to u nas dalibóg ani jednego Zyblikiewicza nie znajdziesz choćby na lekarstwo — i to właśnie tak nas nędzi i tak nam dokucza... Zdaje się przeto, iż zrzuciwszy pychę z serca, będziemy musieli sprowadzić sobie ztamtąd tego rodzaju inicyatywną głowę, która niebałaby się ani Szczutka, ani Harapa, ani nawet samego Dyabła... tak mówię, samego Dyabła, bo i ten w ostatnich czasach zaczyna dostawać po nosie. Kropią go w Krakowie, jak mogą i czem mogą ale kropią w nadziei, że w końcu musi się wleść do święconej krakowskiej wody. Jednem słowem Kraków coraz bardziej idzie do góry: wyjednał sobie nawet arcyksięcia na mieszkanie, żeni starego księcia na Nemoura z księżniczką polską, na sukienicach postawił indyka i koguta, w Rzeszowie przeforsował do Sejmu p. Kieszkowskiego — a my co? — palimy mizerną illuminacyą na cmentarzu, o nowych sztukach Fredry, o których już w Krakowie zapomniano, wiedzieć nie chcemy, ale rozstawiwszy żydówki po ulicach z pieczonemi maronami — rozkoszujemy się panną Bossi, podróżujemy z p. Perichonem po Szwajcaryi trawiąc z niesłychaną dobrodusznością wszelkie muzykalne i niemuzykalne produkcye miejscowych prelegentów.— Daj Boże, aby to wszystko wobec nowych tryumfów Krakowa wyszło nam na zdrowie, choć patrząc na ogólny nastrój miasta, bardzo wątpię czy unikniemy żółtaczki.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Czerwiński Józef.* Technika materyałów budowlanych na podstawie specyalnych źródeł ułożona. 8ka str. 52. Warszawa 1878. 50 ct.

— *Jankowski Edmund.* Sad i ogród owocowy. 8ka str. 401. z 153-ma drzeworytami. Warszawa 1878. 3·50 ct.

— *Kleczyński Dr. Józef.* Statystyka gospodarstwa gminnego. 8ka str. 44. Lwów 1878. 75 ct.

— *Kraszewski J. I.* Hołota, powieść współczesna 2 tomy. 8ka str. 154. 149. Warszawa 1878. 2·50 ct.

— *Łunkiewicz X. J.* Wykład obrzędów i religijnych zwyczajów rzymsko katolickiego kościoła. 2 tomy. 8ka str. 408. 108. Wilno 1878. 2 złr.

— *Michałowski Emil.* O nauce języka polskiego w szkołach realnych. 8ka str. 21. Tarnopol 1878. 20 ct.

— *O'Relli O.* Więźniowie mamertyńscy. Opowiadania z historyi pierwszych wieków kościoła. 8ka str. 579. Warszawa 1878. 2 złr.

— Powstańcy na morzu w wyprawie na Litwę. Z pamiętników pułkownika Łapińskiego. 8ka str. 214. Lwów 1879. 1·20 ct.

— *Schwartz M. Z.* Korsykanka. Dwaj bracia, powieści tłumaczone ze szwedzkiego. 8ka str. 226. Lwów 1879. 1·60 ct.

— *Słowacki Juliusz.* Mindowe, król litewski. 16ka str. 96. (Bibl. Mrówki tomik 12. wyd. drugie). Lwów 1879. 25 ct.

— *Syrokomla Wł.* Ułas, sielanka bojowa. 16ka str. 64. (Bibl. Mrówki tomik 13. wyd. drugie). Lwów 1879. 20 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Konfiskata.* W Krakowie został skonfiskowany ostatni numer „Dyabła", jak powiada „Gazeta Narodowa, za poezyę, prozę, politykę zagraniczną, krajową, sejmową i sprawy miejscowe. Pomimo że tym sposobem blisko połowa treści została zakwestyowaną, Redakcya tego czasopisma na drugi dzień wydała nowy nakład numeru, co tem bardziej zadziwia, że „Dyabła" mającego zwykle wielką, artystycznie wykonaną rycinę, nie tak łatwo szybko wydrukować.

Wogóle „Dyabeł" coraz bardziej rozwija się i ulepsza — każda rycina jest jak powiedzieliśmy artystycznie wykonaną, treść urozmaicona i dowcipna; a gdy obok tego czasopismo to jest obecnie jedynem, z którego można zaczerpnąć prawdę o stosunkach krakowskich, nie dziw więc, że staje się coraz poczytniejszem i coraz bardziej pożądanem.

*** Nowelle Zoli pod tytułem „Typy duchowieństwa", świeżo wyszłe w osobnem wydaniu, powiększyły szereg przekładów dzieł, tego znakomitego powieściopisarza, przyswojonych piśmiennictwu naszemu. Każda z nich w osobnej książeczce stanowi osobną całość; razem zaś wzięte dopełniają się wzajemnie.

*** Rektor uniwersytetu warszawskiego, pan Błagowieszczeński przesłał w darze kilka książek komitetowi towarzystwa miłośników starego piśmiennictwa w Warszawie.

W liczbie rzeczonych dzieł, cennych ze względu bibliograficznego, znajduje się opracowany przez pana Siennickiego opis kolekcyi 300,000 tomów wydawnictw, które drukowanemi były przez znakomitych typografów belgijskich, francuskich i włoskich, a które znajdują się obecnie w bibliotece uniwersyteckiej. Praca wymieniona przedstawia materyały do historyi typografii w XVI i XVII stuleciach; kolekcya ta ciekawą jest i z tego względu, iż złożoną ona została z 163 źródeł oficyalnych i prywatnych, przyczem niemal połowa wydawnictw dostała się do biblioteki uniwersyteckiej po pierwszem zamknięciu klasztorów za Aleksandra I.

Drugi opis pod tytułem: „Les Elzevir de la Bibliothéque de l'Universite Imperiale de Varsovie" (Elzewiry biblioteki cesarskiego uniwersytetu warszawskiego) tegoż autora dotyczy 590 dzieł w VII tomach, wydanych przez Abraama Elzewira w 1693 do 1710 r., albo też mu przypisywanych.

Wreszcie podarowaną też została „Historya Polski" Naruszewicza.

*** Z Pragi Czeskiej. M. Błażek prof. sło-

wiańskiego paedagogium w Brnie (na Morawie) począł wydawać: „Stylistykę dla młodzieży średnich szkół czeskich" („Stylistyka žakum strzednich szkol czeskich"). Wyszedł już pierwszy zeszyt tej pracy po części samodzielnej, w części opartej na badaniach Holevia, Heimia, Sommera i innych.

„Dziejów Morawii" Dudika wyszedł już tom 5ty od r. 1197 do 1261, t. j. zawierający epokę margrabiego Władysława Igo, Władysława IIgo, Przemysława Igo, Wacława Igo, Władysława IIIgo i Przemysława IIgo. Wielki zbiór dra Hermenegilda Ireczka, wychodzący p. t. „Zakony slovanske", od czasów najdawniejszych po w. XVI w części nawet późniejszej doby sięgający, zbliża się już do końca i zapewne po nowym roku ukończony zostanie.

Rodzina głośnego malarza Jarosława Czermaka, darowała towarzystwu naukowemu („Umielecka biesieda"), obraz olejny tego artysty „Swadźba na Czarnej górze", (Svat'ba na Czerne Horze). Ponieważ ostatni obraz Czermaka nie został dokończony, słusznie więc wdzięczność należy się rodzinie za dar ten ostatniej pracy rodzinnemu miastu Pradze. A że towarzystwu udało się sprowadzić także nieznany dotąd Prażanom wielki obraz Czermaka „Pasterz słowiański z psem" (Slovensky pastyrz se psem), urządzoną więc będzie wystawa obrazow, szkiców i fotografii Czermaka jakie się tylko w Pradze znajdą.

Na ostatniem posiedzeniu węgierskiej akademii nauk dr. Vilem Franknoi czytał, „o archivum margrabiego Jerzego Brandeburskiego", znajdującem się obecnie w archiwum mnichowskiem, a ważnem dla dziejów Czech i Węgier.

⁂ Głębokość morza. Morze Bałtyckie (między Szwecyą a Niemcami jest głębokie na 39 m. Adryatyckie 42 m. Największa głębia kanału La Manche nie przechodzi 96 m. Cieśnina Gibraltar w najwęższem miejscu jest 320 m. głęboka.

Najgłębszy ocean Atlantycki. Na zachód od przylądka Dobrej Nadziei głębokość oceanu wynosi 5120 m. a na zachód od wyspy św. Heleny 8320 m. Za średnią głębokość przyjmują 8320 m. a oceanu Spokojnego 6400 m.

Szkoły.

⁂ Donoszą z Grodna, iż ministeryum oświaty pozwoliło otworzyć tam siedm jednoklasowych szkółek.

Na utrzymanie ich skarb płacić będzie 1,376 rubli.

⁂ Donoszą z Odessy, że w mieście tem uczniowie wyższych klas szkoły handlowej utworzyli uorganizowane prawnie towarzystwo pod hasłem zasilania biednych współkolegów. Ustawa asocyacyi zatwierdzoną została przez dyrektora szkoły pana Orbińskiego. Na początek zarząd stowarzyszenia urządza widowisko, w którem przyjmą udział lepsze siły sceny miejscowej.

⁂ Statystyka edukacyi niewieściej w Petersburgu przedstawia następne cyfry: na kursach pedagogicznych było do powyżej oznaczonego terminu 250 uczennic, w gimnazyum Maryjskiem 772 ucz., w gimn. Kołomeńskiem 536 ucz., w gimn, Wasilewskiem 429 ucz., w gimn. Piotrowskiem 328 ucz., w Aleksandrowskiem 354 ucz., w „Litejnem" 348, w Ekateryńskiem 292., w gimn. Rożdestweńskiem 235, w progimnazyum istniejącem przy kursach pedagogicznych 203 uczennic. We wszystkich wogóle średnich szkołach niewieścich w Petersburgu pobierało wykształcenie do dnia 26 września 3,747 uczennic.

Stowarzyszenia.

⁂ *Towarzystwo pomocy Naukowej dla Księstwa Cieszyńskiego* odbędzie walne zgromadzenie d. 30 listopada o godz. 1 po południu. Towarzystwo to co rok większego udziela wsparcia uczącej się młodzieży, i w upłynionym roku szkolnym wydało na ten cel 475 zł., lubo dochód jego był mniejszym aniżeli poprzednio. Z tej przyczyny pożądanem jest, ażeby ziomkowie jak najhojniej to Towarzystwo wspierali i do niego przystępowali, co nie jest trudnością, gdyż obowiązkowa roczna wkładka wynosi tylko 1 złr. Z wspomnionej kwoty 475 złr. otrzymało zapomogi 21 uczniów, a mianowicie: 2 słuchaczy medycyny (120 złr.); 2 słuchaczy filozofii (110 złr.); 2 teologów (30 złr.); 8 gimnazyalistów (90 złr.); 2 uczniów szkoły realnej (40 złr.); 5 kandydatów nauczycielskich (85 złr.) Ponieważ i w roku bieżącym mnożą się prośby o zapomogi, przeto uprasza się członków o nowe wkładki. Wkładki przyjmuje także Redakcya „Tygodnia."

ROZMAITOŚCI

⁂ Uczta dla Żółkowskiego. Dwieście kilkadziesiąt osób należących do najrozmaitszych warstw społecznych zebrało się onegdaj w sali resursy kupieckiej dla uczczenia 45-letnich zasług Żółkowskiego na scenie polskiej.

Po spożyciu wspólnej kolacyi przy dźwiękach orkiestry Lewandowskiego, bez której nawiasem mówiąc żadna dzisiejsza uroczystość obyć się już dzisiaj nie może, rozpoczęły się toasty.

Pierwszy toast wniósł p. Kalikst Potkański, dyrektor resursy kupieckiej w imieniu obywatelstwa, dalej pan Józef Hiż, redaktor „Kuryera Codziennego" w imieniu prasy, pan Edward Lubowski, w imieniu autorów dramatycznych. Z kolei przemawiali: pan Wincenty Rapacki wnosząc zdrowie Królikowskiego, Królikowski za zdrowie publiczności warszawskiej.

Ostatnie trzy toasty wnieśli pp. E. Lubowski, Kazimierz Zalewski i Zygmunt Sarnecki, imieniem teatrów krakowskiego, lwowskiego i poznańskiego.

Po ukończeniu szeregu toastów wszyscy obecni zapisali się w księgę ofiarowaną jubilatowi przez p. Franciszka Łapińskiego, znanego tutejszego obywatela i kupca.

Powinszowań listownych i telegraficznych nadeszło wiele z Petersburga, Paryża, Krakowa, Poznania, Łodzi, Płocka, Łomży, Lublina i Bóbrki od Blizińskiego.

Uczta przeciągnęła się do godziny 3 w nocy.

. . . .

⁂ Piszą z Paryża:

„Może nieobojętną wam będzie *statystyka ostatniego balu u marszałka Francyi*.

Mówi ona bowiem bardzo wiele o rozmiarze festynu.

I tak:

Wypito butelek szampańskiego wina 2.000;
wina Bordeaux poszło butelek 1,200;
ponczu przyrządzono litrów 2,000;
kawy mrożonej przygotowano litrów 2,400;
limoniady i czekolady podano 4,000 filiżanek;
zjedzono ciast 20.000;
sucharków połknięto 20,000;
kapłonów padło 500;
kuropatw zginęło 400;
szynek skonsumowano 50;
na deser użyto owoców funtów 200;

Cyfry te nie obejmują bynajmniej udziału służby w spożywaniu darów bożych.

Z powodu natłoku przy wyjściu zgubiono, nie odebrano lub zostawiono mnóstwo rzeczy.

Zebrano je tedy w pakietów 148;
parasoli jest tu 200;
płaszczów oficerskich 40;
paltotów męzkich 236;
zarzutek damskich 200;
kapeluszy męzkich 20;
kaloszy par 60 i w końcu... szynionów 3.

⁂ „Figaro" zastanawiając się nad przypuszczalnem małżeństwem księcia Ludwika Napoleona (Lulu) dowodzi, że nieznaczny jakoby posag jego nie mógł stanąć na przeszkodzie związkowi księcia z księżniczką duńską Tyrhą. Gdyż jakkolwiek majątek osobisty spadkobiercy byłego cesarza Francuzów nie jest na razie znaczny, będzie on jednakże dziedziczyć po matce swej b. cesarzowej Eugenii — miliony. Oto 1866 r. Napoleon III spisał testament złożywszy takowy u notaryusza Mocharda, który to testament regestrowany został 12. stycznia 1873 r. w Chislehurst. Na mocy zaś tego testamentu b. cesarzowa Eugenia wchodzi w posiadanie 20.000 fr. renty rocznej z posiadłości Mezzola we Włoszech w pobliżu Bolonii położonej; powtóre wchodzi w posiadanie dyamentów wartujących do 2,800,000 fr., które po sprzedaniu przynieść mogą dochód wynoszący 150,000 fr.; po trzecie 2,000,000 fr., ze sprzedaży baronowi Hirsch domów mieszczących się na polach elizejskich i po czwarte nareszcie 80,000 fr. renty, które Ludwik Napoleon w czasie wygnania swego 1872 r. podpisał przy wielkiej miliardowej francuskiej pożyczce. Wszystko to razem przynosi b. cesarzowej rocznej renty 450,000 fr.

Widocznie Napoleon III niezłe robił interesa.

⁂ Żółta febra. Wiadomości nadsełane od miesiąca drogą telegraficzną z Ameryki, przerażają swoim lakonizmem. Nowy Orlean i Menfi dotknięte straszną plagą żółtej febry, przedstawiają obraz zniszczenia. W ciągu jednego dnia w Nowym Orleanie było 654 wypadków, innego 623 i w tym stosunku przez dwa tygodnie z rzędu. Żałobna statystyka jeszcze nie wykończona, możemy jednak mieć o niej pojęcie, pamiętając, iż we Wicksburgu przypadło przeszło 15 tysięcy krwawych wydarzeń śmierci.

Miasta dotąd kwitnące, obecnie straszną klęską dotknięte, zamieniły się w pustynie. Pałace, większe domy i świątynie, zamieniono w szpitale; w Nowym Orleanie nikt nie pozostał, prócz kilku doktorów i sióstr miłosierdzia, które poświęciły się usłudze chorych. Najbliżsi nawet krewni odbiegli umierających, bo i na co przydałaby się ich ofiara?

Nowy Orlean, miasto zwykle ożywione, świeci obecnie pustkami; wspaniała dzielnica kanału, Corso miasta, na teraz ruch swój zawdzięcza osobom dotkniętym zarazą, przewożonym do szpitali, albo na cmentarz. Nic nie przerywa uroczystej ciszy, chyba skrzyp karawanu. Ludzie padają na ulicach, w kościele... gdzie kto się znajduje.

W niektórych domach wymarły całe rodziny. Nie braknie w tym dramacie strasznych epizodów. Jakiś kupiec pobiegłszy do Questury z doniesieniem, iż w nocy go zrabowano, otrzymał wiadomość, że jego żona i syn, których zostawił zdrowych, umierają... zanim wrócił, nie żyli! Pewien kuśnierz rodem ze Lwowa, pocałował zwłoki syna i padł martwy. W innej rodzinie 7ro dzieci pilnując ojca chorego, zaraziło się... tylko jedno z nich ocalało. Matki uciekające nie mogąc wszystkich dzieci zabrać, powierzały je zakonnicom, tych niemowląt umierało codzień po kilkaset. Klęska obecna daje się tylko porównać z tem, co się działo we Florencyi, w epoce Bokacyusza.

⁂ Znakomity wynalazek zyskał uznanie w Anglii. Udało się nareszcie kapitanowi Templar wynaleźć sposób kierowania wojskowemi balonami. W zeszłym tygodniu na wysokości 1500 metrów wykonywał on przy pomocy elektryczności takie ruchy, jakie mu generał Aquilar nakazywał z równiny Woolwich.

W tymże czasie zrobiono drugi nie mniej ważny wynalazek. P. Coloné utworzył stos elektryczny przechodzący siłą wszystkie dotychczas znane. Stos ten wydaje światło elektryczne przez 48 godzin bez najmniejszego uszkodzenia, nadto płomień jego jest łagodny i jasny.

DOBRY POŁÓW.

Nowella

przez

PIOTRA ANTONIO DE ALARCON.

Sławą i ranami, w wojnie o sukcesyą tronu okryty lubo jak wszyscy prawie owych czasów rycerze, bez grosza w kieszeni, powracał do swego zrujnowanego burgu szlachetny kawaler Mequinenza, aby w nim, przeżywając resztki szczupłej ojcowizny, wypocząć po trudach obozowego życia.

Tenor don Jaime da Mequinenza walczył jako rotmistrz za sprawę Ludwika XIV. Trzydziesto-pięcio letni ten wojak, wysoki, dorodny, odważny, wymowny, lubo niedość oczytany, szczęśliwym był w podbijaniu serc naiwnych dziewcząt wiejskich. A gdy dodamy, że był jedynym spadkobiercą rodzicielskiego mienia, uzupełnimy wtedy wizerunek naszego aragońskiego bohatera.

Istnem odbiciem senora Mequinenza był jego zamek, nietyle wprawdzie co do siły, ile raczej ze względu na osamotnienie, ubóstwo i dumę. Wyobraźmy go sobie (odwołuję się wyłącznie do wyobraźni, zamek już bowiem nie istnieje) wzniesionym na stromej oblanej rzeką Ebro skale, po za którą wyniosła góra wznosi swój szczyt pod obłoki.

Kilka u jej stóp rzuconych chat i dworków zamieszkiwali dworzanie i kmiecie, poddani tej zbyt ubogiej baronii. Od wsi do zamku wiodły piętrzące się tarasy, wejście zaś na dziedziniec zamykał rzucony most na fosie, do której woda kanałem z Ebro sprowadzana, szumiącym po za zamkiem spadała potokiem.

Na pochyłości przeciwległej góry, wodospadem od burgu oddzielonej, zwieszała się ponad Ebro druga skała uwieńczona chatą i ogródkiem, śmiałą ręką, jako owo dzieło Semiramidy, na szczycie jej rzuconym. Szeroka belka służyła za kładkę do przejścia z chaty do zamku i jak do niego, gdy zwodzony most podniesiony, przystęp był niemożliwy; tak i chata w razie usunięcia belki stawała się niedostępną.

Wspomnieliśmy już, że na owej pańskiej skale żył

don Jaime da Mequinenza; teraz dodamy, że na tej drugiej sąsiedniej skale, mieszkał rybak, który właśnie zbudowaniu chaty na urwisku, dobrobyt swój zawdzięczał.

Damian, tak się zwał rybak, wpadł na pomysł zapuszczania sieci z kładki w ów szumiący wodospad. Tym sposobem łowił mnóstwo węgorzy, które porwane siłą potoku wpadały do zastawionej sieci, sprzedaż zaś zdobyczy po sąsiednich wioskach, lubo po niskiej cenie znaczne Damianowi zapewniała korzyści.

Wspomnieliśmy już że Damian dzięki tym rybackim zabiegom, do niejakiej przyszedł zamożności, zapomnieliśmy tylko dodać, że mimo to, nie trzymały się go pieniądze. Czemuż to przypisać? Oto, Damian, jak wielu mu podobnych, zrobił głupstwo, poślubiając piękną, urodziwą ale lubującą się w strojach i zalotną dziewczynę.

Karmela, albo jak on ją pieszczotliwie zwał, Karmelita, była ubogą wiejską dziewoją. Nie umiała wprawdzie czytać, mogła wszelako uwieść na pokuszenie nawet świętego, gdyby tego łaska boża od upadku nie chroniła. Karmela, był to wcielony wdzięk szatański.

Piękna, dorodna blondynka, podobna była wzrostem do wybujałej trzciny, od pasa zaś do czoła, do równianki wdzięcznie rozwiniętych kwiatów. Gors, ramiona, szyja, broda, powabny chód, śnieżna bladość cery, rumieńcem płonące lica, jakaś marzycielska w oczach tęsknota, drobna rączka cudnie utoczone ramiona, powabny strój, długi złocisty warkocz i mała nożka, owa, jak ją nazywa wieszcz Granady, Salvator, „ścieżka do raju,“ — oto obraz Karmeli.

Mógłże Damian nie uwielbiać cię, Karmelo, i nie ukryć zazdrośnie na szczycie skały, od reszty świata odgrodzonej! Ktokolwiek w dzień chciałby się tu dostać, musiałby wskróś przejść całą wieś i dolinę i od wszystkich być widzianym, nocą zaś, któż śmiał wdzierać się po urwiskach na kilkaset stóp w górę?

Każda, tego co Karmela usposobienia, dziewczyna, jeżeli nie ma kochanka, kocha się przynajmniej w sobie. To też i Karmela, jakkolwiek w odludnem skryta ustroniu i lubo nikt jej, oprócz męża nie widział, cały jego wszelako z połowu węgorzy osiągnięty zysk, obracała na kupno jaskrawych sukien, pierścionków, zausznic, słowem, stroiła się jak dama.

Przekonana o wyższości swego przeznaczenia, Karmela ubrana codziennie jak na wesele, całemi godzinami wysiadywała bezczynnie przed progiem chaty, lubo tu prócz ptaków, krzewów i nieba nikt nań nie patrzył. Z takim spokojem wyczekiwała ona chwili swego przeznaczenia. Zamek, jedyne sąsiedztwo chaty, był niezamieszkany, w chwili bowiem naszego opowiadania, don Mequinenza jeszcze nie powrócił; jedni więc tylko wieśniacy, idący wąwozem, mogli dojrzeć rybaczkę, jaśniejącą jak jaskrawy kwiat na wyżynach skały. Gdyby więc Karmela rzeczywiście oczekiwała kochanka, ten chyba lotem ptaka mógłby się tu dostać.

Może mnie spytacie: Karmela więc nie kochała swego męża? Cóż na to odrzec? Powiem tylko, że była uroczo piękna, a żyła osamotniona; Damian bowiem całemi dniami sprzedawał po wsiach węgorze. Podczas swojej nieobecności, zabronił jej schodzić do wsi a woli tej Kamela ślepo była posłuszną, najprzód dla tego, że tak Bóg przykazał, powtóre, że prostacze chłopaki mało do jej towarzystwa przypadały. Lecz powiecie może, że i Damian prostym tylko był kmieciem i ona zapewne mało w przestawaniu z nim znajdowała przyjemności. Niestety, tak było w istocie. Mógłże bowiem pięknej, wystrojonej, rozmarzonej, jak maurytanka kobiecie, podobać się niechlujny, licho odziany, ogorzały od słońca, zmoczony deszczem, woniejący rybami małżonek?

Wprawdzie, gdyby Damian nie poprzestawał na zaniedbanej odzieży, piękna jego Karmela nie miałaby szat tak wytwornych. Gdyby mniej pracował i rąk swych oszczędzał, pracę tę musiałaby żona podzielać, a wtedy i rączki jej utraciłyby wiele z swej białości. Gdyby nareszcie nie było tych ryb wstrętnie woniejących, zabrakłody dla niej pachnącego mydła. Ale któraż kobieta w dziewiętnastej wiośnie życia, głębiej zastanowi się, zwłaszcza tak piękna, jak siedmiobarwna tęcza, Karmela?

Wdzięczność, zbyt to poważna u młodych kobiet cnota; sprawiedliwość zaś u osób z żywą wyobraźnią nie łatwa do spełnienia. Jak złoto w ogniu, tak cnota oczyszcza się w ubóstwie, nasza Karmela zaś była zbyt szczęśliwą.

To wszystko łatwo nasuwało domysł, że jak tylko zwycięzki don Mequinenza powróci do zamku, Karmela stanie się celem miłosnych jego zabiegów. Jakoż powrócił, a że zawsze i wszędzie był wielbicielem płci pięknej, dość mu więc było ujrzeć Karmelę, aby się w niej do szaleństwa zakochać.

Damian tymczasem zajmował się zawsze połowem węgorzy; od czasu jednak powrotu don Mequinenza, obudził się w rybaku nieokreślony jakiś niepokój. Wprawdzie, żywił on w sercu głęboki dla swego pana szacunek, mimo to lękał się o swoją żonę i to zbyt bliskie sąsiedztwo zamku oddzielonego tylko rzuconą nad parowem kładką.

Taką dręczony myślą, Damian pod pozorem bólu nóg, przyjął chłopca do sprzedaży ryb w okolicy, sam zaś rzadko i na krótko dom opuszczał. Mimo tej troskliwości, nie dopiął wszelako swojego celu. Don Jaime i Karmela zmowili się już skrytem, jak dziś mówią, telegrafowaniem. Miłość ich wzrosła do potęgi, a mowę ust, oczy zastąpiły. Platoniczne to uczucie stało się dla nich nieznośnem, rozdział zbyt dalekim, kładka nie do przebycia, niecierpliwie więc oczekiwali chwili wydalenia się Damiana. Tajemnicze znaki ułatwiały zmowę.

Pewnego pięknego dnia w maju, oboje małżonkowie siedli na słońcu przed progiem swej chaty. Nie będę wam opisywał tego słońca, które, jak przed półtorasta wiekami i teraz chyliło się ku zachodowi; powiem tylko, że owego wieczora, tak zwolna i majestatycznie kryło się ono za góry, jak gdyby nigdy wzejść już nie miało.

Była to jedna z tych wzniosłych chwil, w których zdaje się, czas bieg swój zatrzymał. Była to uroczystość natury nie wkraczająca w zakres dziejowy, jeden z tych uświęconych dni, w których świat, jakoby po raz pierwszy dosięgał szczytu piękna. Cała przeszłość przybiera wtedy młodzieńczą krasę, przyszłość staje się nużącą i przekwitłą nicością. Była to, mówię, owa smętna godzina, gdy stępiały umysł, patrzy na tragedyą konającego dnia, jak na niepowrotne widowisko; godzina zadumy, w której, jeżeli nasuną się wspomnienia drogich nam zmarłych osób, wstyd nam wtedy niejako, żeśmy jak one nie wzięły z życiem rozbratu.

Karmela i Damian wpatrywali się z żalem w słońce, którego ostatnie promienie, purpurowem światłem bawiły widnokrąg. Jakkolwiek oboje maluczcy duchem, bez wykształcenia, czuli wszelako, dręczeni jakimś niepokojem, że ten zachód nie jest jak dawniej, dla nich obojętnym, że chwila obecna jest godziną rozstania i nieubłaganego przeznaczenia. Wprawdzie ograniczony umysł utrudniał im dojście do świadomości własnych uczuć, do zdania z nich rachunku; mimo to, przed zamglonym wzrokiem ducha snuły się im mętne zarysy życia i skonu, minionego szczęścia i przyszłych cierpień. Im bardziej słońce chyliło się ku zachodowi, w tem głębsze oboje zapadali milczenie, tem dziwniej plątały się ich myśli.

Są chwile, w których, oprócz duszy, objawia się w nas byt jakiejś trzeciej niepojętej istoty. Taka właśnie niedostępna zmysłom istota stanęła obecnie pomiędzy małżonkami, z których jedno dążyło do złamania zaprzysiężonej wiary, drugie zaś, trawione zazdrością, knuło zamiary mordu. Podwójny ten nastrój myśli, to zbrodnicze tchnienie, było chwilą tajemnego porozumienia ich, cichem uznaniem wspólwiny, ztąd długie to obustronne milczenie, podziwu w nich nie wzniecało.

Gdy słońce zaszło, z piersi obojga jak po nużącej pracy, ciężkie wydarło się westchnienie. Była to chwila podpisania tajemniczej umowy i tak nieodwołalnego postanowienia, jak skon dnia zapadającego w przeszłość.

Szczerze i bez obawy spojrzeli teraz sobie w oczy. Damian zwróconym ku zamkowi wzrokiem pozdrowił don Mequinenza a ten wzajemnie utkwił źrenice w Karmelitę, która również z całą naiwnością pozdrowiła rycerza.

Dostrzegł to Damian a wyciągnąwszy swoją zreumatyzowaną nogę, półgłosem odezwał się do żony:

— Ból mi ustąpił, pójdę jeszcze na wieś, tam zanocuję, może mi się uda pościągać drobne długi. Powrócę rankiem. Spodziewam się obfitego połowu węgorzy w zastawionych już wieczerzach. Żegnam cię Karmelito!

— Bądź zdrów, Damianie — odrzekła mu chłodno.

Nigdy jeszcze tak ozięble nie rozstali się małżonkowie. Damian, wziąwszy kij, przeszedł kładkę i spuścił się w parowę zamkową. Słońce złociło jeszcze dalekie gór szczyty.

W ośm godzin potem, toż samo słońce oświecało powrotnie drzwi rybackiej chaty; znikła atoli owa powaga i smutek, z jakim wczoraj zapadało pod ziemię. I znów jak dawniej uweselone, wstępowało na sklepienie nieba, siejąc życie i radość, gdzie tylko promienie jego działały. Jakoż zajaśniało zwierciadło wód, zapiały koguty, rozpraszały się tumanne nad Ebro pary, świegotało ptactwo, w dolinach snuły się pędzone na paszę trzody.

Było to toż samo słońce, które podczas ośmio-godzinnej nieobecności, przekroczyło ocean, obiadowało w Ameryce, odbierało cześć boską od bałwochwalczych plemion Oceanu Spokojnego, przyświecało niejednym weselnym godom w Chinach, ogrzewało bujne rośliny Hindostanu, całowało zimne głazy grobu świętego, a teraz powraca, by obaczyć, co się stało z ową aragońską parą rybacką, pozostawioną ubiegłego wieczora u drzwi rybackiej chaty.

I Damian wydawał się dziś swobodniejszym. Wesół i rzeźki, w gronie rybaków wioski, śmiało przyśpiewując kroczył po tarasach zamkowych.

Cały ten wesoły orszak wszedłszy po zwodzonym moście do pogrążonego jeszcze w śnie zamku, stanął na krańcu oddzielającym go od chaty Damiana.

— Czy słyszysz huk wodospadu? — spytał jeden rybak.

— A gdzie kładka? — spytał Damian — patrz spadła w wodę obcięta z obu końców.

— Jak to się stać mogło! taka gruba i szeroka belka!

— Kupię dziś i zaciągnę inną — rzekł Damian wzruszając ramionami. — Dalej, chłopcy, pomóżcie mi wyciągnąć obie sieci, aby nie było zapóźno.

I z wesołą na ustach piosenką, wziął się do wydobycia sieci.

— Do szatana! jaka ciężka — zawołał rybak — ciesz się Damianie, zrobiłeś dobry interes.

— Przynajmniej dwa centnary ryb — rzekł drugi — świetny połów!

— Zdaje mi się — zauważył trzeci — żeśmy złowili tę zrzuconą belkę.

Na ustach Damiana przemknął uśmiech.

— Jak myślisz, ile ta sieć waży? — pytał inny ciągnąc drugą sieć. — I ta również ciężka, waży przynajmniej półtrzecia centnara.

Damian stał ponury, drżący, pot kroplisty spływał mu z czoła.

— Mówisz, że obie sieci zarówno ciężkie — mruczał z cicha, to być nie może.

I zwolna posunął się ku chacie. Tymczasem wydobyto pierwszą sieć — w niej leżała połowa belki. Widocznie kładka była przepiłowana w nocy. Jeszcze rybacy nie wyszli z podziwu, gdy nagle przerażeni odskoczyli od sieci.

Na krzyk ich, jęk grobowy echem powtórzył się z chaty. Damian z rozczochranym włosem, z błędnym wzrokiem, z śmiechem piekielnej furyi stanął we drzwiach swojej siedziby. Na dnie pierwszej sieci ujrzano trupa don Jaima. Damian po powrocie ze wsi, zastał nietknięte łóżko Karmeli. Ona wraz z połową drugiej belki spoczywała w drugiej sieci.

— Patrzcie! tegom się nie spodziewał, dobry połów! — krzyknął Damian i zamknął się w chacie.

Po zejściu sędziego dla uwięzienia Damiana, zastano go, jak z odciętą samowolnie toporem prawą ręką, wrzeszczał: Dobry połów! dobry połów!

Damian oszalał.

Treść Nr. 63.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.